Nr. 16 i 17. Kraków, sierpień i wrzesień 1909 r. Rok II.

STRAŻ POLSKA

wychodzi w połowie każdego miesiąca.

Prenumerata „Straży Polskiej" na rok 1909 wynosi 3 kor. — dla członków „Straży Polskiej" 2 kor. (z przesyłką pocztową). Numer pojedynczy 30 hal.

Adres Redakcyi: Kraków, Rynek główny L. 39. | Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Kazimierz Bartoszewicz. | Adres Administracyi: Kraków, ul. Floryańska L. 1.

Nasz sztandar.

Nasz sztandar tkała żywa moc,
Co śmierci się nie lęka!
Przez chmurne dnie, przez głuchą noc
Tkała go duchów ręka.
My jej drgającą snujem nić,
Z serca, co żarem bije...
Ten tylko naród godzien żyć,
Co czuje sam, że — żyje!

Nasz sztandar powiał w jasność zórz
Na drzewcu z tego drzewa,
Co korzeniami wszerz i wzdłuż
Wrosło w tej ziemi trzewa.
I nikt, i nic, przez żaden trud,
Nie zerwie węzła tego,
Co z ziemią wiąże wierny lud,
A ziemię z duchem jego!

Nasz sztandar jedno hasło ma
I jedno zawołanie:
W jedności, w pracy życie trwa,
Jest z klęski — zmartwychwstanie.
My go z czcią niesiem w życia chram
Od ziemi, od macierzy...
— Ten tylko jutra dojdzie bram,
Kto w jutro swoje wierzy!

Marya Konopnicka.

Obchód grunwaldzki

urządzony przez „Straż Polską" w Krakowie 18 lipca.

Zarząd główny „Straży Polskiej" podjął myśl uroczystego obchodu rocznicy grunwaldzkiej i polecił jej wykonanie Zarządowi II. Koła krakowskiego (męskiego). Komitet, złożony z członków tego zarządu, oznaczył termin obchodu na d. 11 lipca, wypracował program uroczystości i przedstawił go do zatwierdzenia Zarządowi głównemu. Jednocześnie Komitet udał się z prośbą do Najprzewieleb. ks. biskupa Bandurskiego sufragana dyecezyi lwowskiej, aby raczył przybyć do Krakowa i wygłosić kazanie podczas nabożeństwa dziękczynnego w kościele Maryackim. Ponieważ ks. biskup Bandurski, z powodu chwilowej niedyspozycyi, nie mógł na razie zadość uczynić prośbie Komitetu, postanowiono przeto odłożyć obchód na d. 18 lipca i skorzystać z tego odroczenia dla nadania uroczystości szerszych rozmiarów. Komitet w tym celu uzupełnił się kilku członkami Zarządu głównego i zaprosił do swego grona prezydyum „Sokoła", oraz reprezentantów mieszczaństwa.

Wskutek zwrócenia uwagi Komitetowi, iż corocznie odbywa się w kościele Maryackim z udziałem cechów fundacyjne miejskie nabożeństwo na pamiątkę Grunwaldu, uchwalono porozumieć się z prezydyum miasta, aby to nabożeństwo włączyć w program uroczystości. Prezydyum miasta chętnie się zgodziło na propozycyę, a jednocześnie najprzew. ks. biskup Bandurski zawiadomił, że przybędzie na dzień 18 lipca. Wobec tego Komitet zajął się gorąco przygotowaniem w szczegółach obchodu, program jego ogłosił plakatami i zaprosił do współudziału patryotyczne instytucye.

Nabożeństwo.

Obchód rozpoczął się o g. 9 rano uroczystem nabożeństwem w kościele N. P. Maryi Odprawił je w licznej asystencyi duchowieństwa, uproszony przez Komitet obchodowy, ks. archiprezbiter Krzemiński.

Olbrzymia świątynia, w której przed 499 laty odśpiewano uroczysto *Te Deum* na pierwszą wieść o zwycięstwie grunwaldzkiem, zapełniła się szczelnie publicznością. W nabożeństwie wzięli udział przedstawiciele Rady miejskiej z prezydentem miasta, dr Juliuszem Leo i wiceprezydentem dr. Szarskim na czele, posłowie na Sejm krajowy i do Rady państwa z Krakowa, członkowie „Straży Polskiej", delegacye przybyłe z prowincyi, między któremi wyróżniała się delegacya włościańska z wieńcem od Koła „Straży Polskiej" ze wsi Rybnej. Dalej weterani z walki o niepodległość ojczyzny w r. 1863 (ze sztandarem), delegacye Sokołów, miejskiej i ochotniczej straży pożarnej, cechy krakowskie ze sztandarami, wychowankowie zakładu ks. Lubomirskich, chłopcy z zakładu Józefitów, oraz przedstawiciele różnych stowarzyszeń krakowskich. Resztę świątyni wypełniła po brzegi patryotyczna publiczność, wśród której bielały liczne sukmany włościańskie Przed kościołem stanął zastęp Sokołów z prezesem Turskim.

W czasie nabożeństwa wzmocniony chór miejscowy odśpiewał mszę św. J. Zangla, z akompaniamentem harmonium. Na Offertorium zabrzmiała pieśń św. Wojciecha „Boga Rodzico".

Po skończonem nabożeństwie wstąpił na kazalnicę znakomity kaznodzieja ks. biskup Bandurski ze Lwowa, który w podniosłych słowach wspomniał tę chwilę radosną — gdy przed 499 laty przybiegł do Krakowa goniec z pola walki z wieścią o świetnem zwycięstwie króla Jagiełły nad Zakonem krzyżowym. Dziś po wiekach inne wieści przebiegają Polskę zakutą w kajdany niewoli — wieści smutne, bólem przenikające serce każdego Polaka.

Tam pod zaborami pruskim i rosyjskim wysilają się rządy zaborcze, aby nas z własnej ziemi usunąć, mowę ojczystą, skarb najdroższy wydrzeć, aby dusze zdeprawować. Ale w tej ciężkiej i nierównej walce dążmy śmiało naprzód, ufni w Opatrzność i sprawiedliwość dziejową. Unikajmy walk partyjnych czy klasowych, w oświacie ludu szukajmy odrodzenia narodu.

Duch miłości młodej królowej Jadwigi, który złączył bratnie narody i poprowadził na pole zwycięstw i chwały, niech się unosi nad naszym narodem, a miłość wzajemna i zgoda da nam siłę do nowego zwycięstwa.

Pochód.

Kiedy przebrzmiały słowa natchnionego mówcy, z wieży Maryackiej odezwał się „hejnał", a po nim popłynęły dźwięki pieśni narodowych. Równocześnie na rynku między Sukiennicami a kościołem Maryackim zaczął formować się kilkutysięczny pochód.

Otwierała go młodzież z zakładu Józefitów. Dalej postępowały kolejno: drużyna „Sokołów" krakowskich ze sztandarem, poprzedzona własną orkiestrą, z prezesem gniazda krakowskiego Turskim i naczelnikiem Rucińskim na czele, oddział miejskiej i ochotniczej straży ogniowej ze sztandarami, dwa oddziały weteranów polskich z r. 1863, członkowie „Kółka kontuszowego" w malowniczych strojach narodowych ze sztandarem, cechy krakowskie z insygniami i chorągwiami, członkowie „Straży polskiej" z dwoma pięknemi wieńcami, delegacya włościańska z Rybnej z wieńcem uwitym z polnych kwiatów, niesionym przez grono dziewcząt wiejskich w barwnych strojach ludowych; delegacye przybyłe z prowincyi na uroczystość i liczne grono młodzieży z zaboru pruskiego. Pochód zamykała w szeregach postępująca publiczność.

Rynkiem głównym i ulicą Grodzką podążył pochód wśród szpalerów publiczności na Wawel, gdzie u stóp sarkofagów króla Jagiełły i królowej Jadwigi złożono wieńce „Straży polskiej".

Wiec.

Po złożeniu wieńców kilkutysięczna publiczność zaczęła się grupować na dziedzińcu w około wzniesionej pod „wikarówką" trybuny.

Po odegraniu przez orkiestrę Sokoła pieśni patryotycznych wstąpił na mównicę prezes Zarządu Głównego „Straży polskiej" red. Kazimierz Bartoszewicz.

Przemówienie prezesa Bartoszewicza.

Podziękowaliśmy Panu Bogu za zwycięstwo pod Grunwaldem. Złożyliśmy wieńce na sarkofagu tej, która dla dobra narodu spełniła wielką ofiarę serca, poślubiając Jagiełłę; oddaliśmy w ten sam sposób hołd wielkiemu królowi, bez którego silnej woli i ducha bohaterskiego nie zdeptalibyśmy przed pięciu wiekami krzyżackiej gadziny.

Po spełnieniu obowiązku względem dwu wielkich narodowych postaci, powinniśmy obecnie zastanowić się nad faktem dziejowym, który przyniósł płodne i błogie następstwa dla naszej potęgi państwowej. Zlanie się w jeden strumień na polu bitwy krwi polskiej, ruskiej i litewskiej stało się podstawą do unii dwu państw i trzech narodów. Ale ten fakt dziejowy, jeden z najdroższych klejnotów skarbca naszej przeszłości, ma jeszcze inne znaczenie dla dzisiejszych pokoleń: jest wskazówką, w jakim kierunku dążyć powinny ich usiłowania.

Tak jest! Naszym najbliższym ideałem, to zgotowanie drugiego Grunwaldu, to odrzucenie od granic naszych, jak się to stało za czasów Jagiełłowych, groźnej nawały krzyżactwa.

Ale zmieniły się czasy. Na Grunwald orężny, na krwawy, a zwycięski bój, sił dzisiaj mamy za mało. Moc żelaza i stali zastąpić musimy mocą ducha. Ten duch ma wznieść wał ochronny, o który rozbiją się, przed którym cofną się fale cywilizowanego barbarzyństwa...

Do tego wału gromadzimy dziś materyał. Zrozumieliśmy potęgę oświaty, więc nie szczędzimy ofiar na szkoły ludowe, zwłaszcza na kresach, widząc w nich słusznie twierdze polskości. Ale te twierdze łatwe będą do zdobycia, jeżeli w nich postawimy załogi słabe fizycznie, nieożywione duchem narodowym. Więc tworzymy drużyny sokole, aby wzmacniać ciało, wyrabiać energię...

Ale oświata i siły fizyczne, to materyał wprawdzie potężny, lecz nie wystarczający jeszcze do zbudowania wału ochronnego.

Naród słaby ekonomicznie, nie posiada dostatecznej odporności. Potrzeba ulepszać rolnictwo, potrzeba wydobywać z łona ziemi bogactwa własnemi rękami dla własnej korzyści, potrzeba rozwijać handel i przemysł, bronić go przed obcym zalewem, należy opiekować się rzemiosłami i rękodziełami, trzeba jednym słowem tworzyć bogactwo narodowe. Ale nawet oświeceni, silni ekonomicznie i fizycznie, możemy stać się igraszką przemocy, mierzwą dla wrogów naszych, jeżeli nie będziemy bronić swych praw przyrodzonych, walczyć o język ojczysty, jeżeli w sercach naszych nie będzie płonął wielki płomień miłości Ojczyzny. Ale i ten płomień nie zapali światła swobody, jeżeli nie będzie miłości wśród nas samych. Rozdarci na trzy części, powinniśmy dążyć do tego, aby duch nasz nie znał kordonów. Jedności tej jednak być nie może, jeżeli się nie zrozumiemy, a nie zrozumimy się, jeżeli się nie poznamy, jeżeli trwać będziemy w tej karygodnej obojętności na wszystko, co swoje, obojętności, która nam pozwala zwiedzać całą Europę, a nie znać ziemi własnej..

Kto tego wszystkiego nie pojmuje, kto sądzi, że tylko w jednym kierunku wytężając swe siły, możemy dojść do zbawienia Ojczyzny, ten albo jest ślepy, albo ślepym być pragnie.

„Straż Polska“ nie zrzekając się swego udziału w popieraniu oświaty i rozwoju sił fizycznych, widząc jednak, że są instytucye, działające wyłącznie w tym kierunku, zwróciła swą uwagę przedewszystkiem na ten materyał do budowy wału ochronnego, którego gromadzeniem zbyt mało się zajmujemy, bez którego ów wał nie miałby dostatecznej siły i spoistości. Więc w miarę sił popiera handel i przemysł swojski, a wypiera obcy; więc wskazuje niebezpieczeństwa, grożące naszemu rozwojowi ekonomicznemu; więc broni praw i czystości języka ojczystego; więc budzi ducha słowem i piórem, więc pracuje nad uświadomieniem narodowem; więc karci wady, wytyka błędy; idzie między lud wiejski i miejski, aby szerzyć znajomość dziejów ojczystych i bieżących spraw narodowych, aby go powoływać do spełniania obowiązków obywatelskich; więc sprowadza młodzież z najdalszych kresów do Krakowa, aby tu w duchu polskim kształcić jej serca i umysły; więc stara się o nawiązanie węzłów między naszemi dzielnicami, aby rozkopywać kordonowe kopce graniczne; więc, jak dziś, święci rocznice narodowe, aby przypomnieć wielką przeszłość i dać sposobność zastanawiania się nad budową wielkiej przyszłości.

„Straż Polska“ ma jedyne zadanie i jedyną zarazem ambicyę, aby powiększyła szeregi tych, co pracują nad zgotowaniem drugiego Grunwaldu, aby wzięła udział w sypaniu tych szańców, które mają zabezpieczyć nasz byt narodowy...

Do tego sypania szańców wzywamy wszystkich, którzy pragną poświęcić swój czas i pracę pod hasłem Sejmu czteroletniego: *ut sit bene Patriae*, aby było dobrze Ojczyźnie!

Ale żeby ta praca wydała owoce, potrzeba wytrwałości.

Przed 115 laty Kościuszko na wiadomość o wzięciu Krakowa przez Prusaków wydał odezwę, w której rzucił te słowa: „Niech Europa nie mówi: Polak prędki jest do zapalenia, jeszcze prędszy do zrażenia się. Niech raczej powiedzą narody: Polacy mężni są w przedsięwzięciu, nieustraszeni w przygodach, stali w dokonaniu“.

Stojąc w pobliżu prochów bohatera narodowego, przyrzeknijmy sobie uroczyście działać w myśl jego życzeń, a na drugi Grunwald długo czekać nie będziemy.

Z tą nadzieją otwieram wiec dzisiejszy.

Odczyt dra Lubeckiego.

Po przemówieniu prezesa Bartoszewicza orkiestra sokola odegrała „Boże coś Polskę“ poczem wstąpił na mównicę Dr. Kazimierz Lubecki i wypowiedział barwny odczyt p. t. „Rzecz o Grunwaldzie“.

„Przeszłość Polski“ — zaczął mówca — „jest, jak wielki gród, pełen pomników i świątyń, a mocny i niezdobyty przez najeźdźce. W tym grodzie wspaniałym wznosi się zaś stara wieża, bardzo potężna i piękna: niespożyte arcydzieło Grunwadzkie. To pamięć i żywa moralna skuteczność bitwy pod Grunwaldem góruje tak w dziejach naszych, jakby w mieście odwiecznem wysoka baszta, silna i ozdobna.

„Nietylko jednak wspomnienie to i zabytek, narodowej czci i podziwienia godzien, ale i przybytek obronny i bezpieczny, do którego uciśniony duch polski rad się chroni, a zewsząd osaczon, sporzej stamtąd nieprzyjacielowi może się stawić.“

Przedstawił następnie Dr. Lubecki szczególne znaczenie narodowe grunwaldzkich obchodów. U nas wyraz „Grunwald“ jest jak silne zaklęcie. Albowiem „zawiera się w niem olbrzymia treść historyczna, druzgocąca swoją dziejową prawdą pychę pruskich następców Krzyżactwa; a zarazem ten wyraz „Grunwald!“ dochodzi, jak dźwięk pieśni, do głębi każdego serca polskiego i brzmi, jak opowieść tryumfu, jak muzyka nadziei, jak pobudka i hasło na przyszłość! To wielkie słowo „Grunwald!“ poraża więc i we wstydzie pogrąża dumnego nieprzyjaciela, a razem zagrzewa i podnosi każdą pierś polską“.

W dłuższym ustępie scharakteryzował mówca Krzyżaków i naszkicował historyczne ich stosunki z Polską. Poczem obszernie opisał wiekopomną bitwę pod Grunwaldem. Wspominał też o skutkach tego zwycięstwa, niedość pomyślnych politycznie, lecz ważnych moralnie. „I my“ — mówił dalej — „czujemy w sobie wielką spuściznę grunwaldzkich bohaterów, przez którą jesteśmy odporniejsi wobec wrogów: wobec tych zwłaszcza, którzy radziby nas pozbawić miłości ku Ojczyźnie! Czujemy w sobie polskość prastarą, zaszczytną i szlachetną: coś grunwaldzkiego trwa w nas“...

Wreszcie przedstawiał Dr. Lubecki duchową wielkość sprawy grunwaldzkiej, która „wydaje się nam, jakoby wieniec cnót, rozkosznie woniejących“. Podziwiamy tam zgodę rodzinną Jagiellonów, zgodę stanów biorących jednomyślnie udział w bitwie, zgodę narodów (Polacy, Litwini, Rusini, Wołosi, Tatarzy); a niemniej poświęcenie się, pobożność, męztwo i patrotyzm. Gorące słowa poświęcił mówca ofierze Jadwigi, która była początkiem jedności polsko-litewskiej, a przez to i tryumfu nad Krzyżakami.

Nakoniec nawiązał swą mowę do obecnych stosunków, co ze względu na żywotność sprawy, dosłownie powtarzamy:

„Arcydzieło Grunwaldzkie nie zostało dokończone. Ani orężnie, ani duchowo nie było niezłomnej stałości. Przez późniejszą opieszałość zmarnowało się korzyści wojenne, a także z biegiem czasu dopuszczono niedobitkom krzyżackim zorganizować się w świeckie państwo, które się stało zawiązkiem pruskiego mocarstwa. Karę za lekkomyślność i niestateczność boleśnie ze strony prusactwa odczuwamy na sobie.

„Ostała się jednak ogromna moralna siła, przez przodków z pod Grunwaldu nam przekazana. Ostał się wielki przykład, co zbawcze, a co zgubne. Ostała się chwała i poczucie na przyszłość.

„Pielęgnujmy to, czego nieprzyjaciel najbardziej się bał i boi. A więc gorącą Wiarę, którą Moskal, Niemiec i wszyscy wewnętrzni nieprzyjaciele tak bardzo pragną nam wydrzeć. A więc to poczucie ciągłe i uważne, że jesteśmy Polakami i że Ojczyzną naszą jest Polska, nie zaś inne jakieś państwa — myśmy dziećmi tej Polski, która choć rozerwana, jest w sercach naszych całą, jedyną i ukochaną. Pielęgnujmy śliczny nasz język własny i czytajmy utwory wielkich poetów i pisarzy polskich, których ze słuszną trwogą zakazują drukować i rozpowszechniać władze państw zaborczych. Starajmy się poznać historyę Polski, abyśmy piękne wzory naśladowali, a wady naprawiali, czego lękają się wrogowie i jużto wcale nie pozwalają zaznajamiać się z przeszłością Ojczyzny naszej, już to z umyślną przewrotnością kłamliwe o niej książki wydają i oszukujących młodzież ustanawiają nauczycieli. Dbajmy także o wiedzę w każdym zakresie, albowiem nauka, to potężna broń ducha i dlatego nasi nieprzyjaciele (najbardziej Moskale) utrudniają Polakom dostęp do szkół, wywożą zbiory książek i dokumentów, rabują galerye obrazów i muzea. Dbajmy o dobre imię, nieskazitelnością charakteru świećmy swoim i obcym; nasza dobra sława bardzo kole w oczy nieprzyjaciół, którzy usiłują nas jak najczęściej przed światem szkalować. Nie lekceważmy i nie trwońmy grosza, lecz pracowicie zarabiajmy, abyśmy nie tylko głód i najpierwsze potrzeby zaspokoili, lecz mieli z czego dać na potrzeby Ojczyzny; zamożność polska niesłychanie groźną wydaje się wrogom, którzy nigdy nie wahali się używać najnikczemniejszych sposobów, byle ludność polską zubożyć. Baczmy też, aby nie zmarnować przez niemoralność życia przyszłych pokoleń Polski, bo przed przyrostem zdrowej polskiej ludności nawet i Prusak drży!

„Widzimy, że rozterki w rodzinie wśród stanów i wśród złączonych dolą i niedolą dziejową narodów — zepsuły nawet coś tak wspaniałego, jak Grunwald, odbierając mu należną skuteczność. Niechęć do ofiarności, ostygnięcie w ideałach ojczystych, tchórzostwo nie już przed srogą bitwą, ale nawet przed energicznem działaniem w życiu — to może i dawnych zwycięzców poddać z powrotem pod jarzmo pokonanego ongi nieprzyjaciela. A koniecznie musi jasno płonąć w nas miłość Ojczyzny, bo inaczej stanie się ciemno i straszno!

„Dlatego to, gdy napawamy się serdeczną radością i dumą narodową przy rozpamiętywaniu bitwy pod Grunwaldem, przyjmujemy równocześnie obowiązek, ażeby skarbu owego nie sprzeniewierzyć i nie uszczuplić, ale go ratować i uzupełniać. Żywe i trudne cnoty do tradycyi ojczystej pilnie od siebie winniśmy dokładać. A tak musi przyjść rok, który będzie jubileuszowym, nie z powodu swej okrągłej liczby, ale z powodu urzeczywistnienia przedsięwzięć grunwaldzkich.

„Bogarodzico-Dziewico, z której hymnem zwyciężaliśmy bramy krzyżackie, uproś nam u Twego Syna-Hospodyna, abyśmy mogli arcydzieła grunwaldzkiego dokończyć!“...

Publiczność nagrodziła mówcę hucznemi oklaskami i odśpiewała pieśń patryotyczną, poczem przemówił prof. Michał Magiera.

Po drze Lubeckim zabrał głos prof. Michał Magiera

Streszczenie przemówienia prof. Magiery.

Stanęliśmy u stóp wawelskiego zamku w licznym zastępie, ale nad głowami naszemi nie powiewają zwycięskie sztandary, jak przed laty, z ust nie wyrywa się pieśń tryumfalna, jak w on czas, kiedy hufce Jagiełły wróciły z krwawej rozprawy do Krakowa.

Na twarzach naszych zdziwienie, smutek, niepewność jutra... Otośmy nie synowie tamtych zwycięzców, ale naród przygnieciony głazem niewoli i własnemi wadami. Wszak przewodnikiem naszym w życiu prywatnem i społecznem najczęściej pycha i zarozumiałość — a brak szlachetnej ambicyi, wszak towarzyszem naszym lenistwo i tchórzostwo w życiu publicznem. Nie umiemy żyć w zgodzie ze sobą, nie umiemy panować nad swojemi namiętnościami, nie umiemy szanować zasług cudzych; podupadli na duchu, wypaczeni w pojęciach o obowiązku względem własnego narodu, przyszliśmy jak rzesza pokutników, dzieci sierocych, ku tym wielkim trumnom ojców, by zaczerpnąć ducha, odwagi do życia i walki za ideały narodowe, bo tych sił trzeba nam w obecnej chwili bardziej niż kiedykolwiek.

W Austryi są usiłowania ukrócenia naszych praw narodowych, w państwie niemieckiem wydziera się z pod stóp naszych ziemię, katuje się dzieci za język i religię, a pod zaborem rosyjskim deprawuje się duszę polską, wtłacza się na nią obrożę i ciągnie powoli w otchłań upadku i zgnilizny moralnej, co chyba jest najstraszniejszym bólem duszy naszej.

Przeto w obliczu tej wielkiej rocznicy faktu dziejowego, będącego wynikiem zgody i jedności, ufności we własne siły i wiary w powodzenie oręża polskiego, ślubujmy sobie nie ustawać w pracy i dążeniach ku odrodzeniu ojczyzny, ślubujmy sobie stać przy sztandarze narodowym, choćby za cenę życia naszego, a jeżeli tej przysięgi dotrzymamy, to wrócimy znowu na to wzgórze wawelskie, ale z pieśnią zwycięstwa i tryumfu na ustach, nie smutni i opuszczeni, lecz odrodzeni wewnętrznie radością z dokonanej pracy, wrócimy jako zwycięzcy, którzy zgotowali wrogowi **nowy Grunwald**.

Rezolucye.

Po przemowie prof. Magiery, przyjętej długo niemilknącemi oklaskami, przedstawił zgromadzonym przewodniczący komitetu obchodowego prof. Antoni Balicki następującą wśród burzy oklasków przez aklamacyę przyjętą rezolucyę:

„Zebrani na wiecu publicznym, urządzonym staraniem „Straży Polskiej“, jako początek narodowego roku jubileuszowego, 1) składają hołd bohaterom grunwaldzkim, 2) przyrzekają bronić interesów i sprawy narodowej przez pracę i wytrwałość całem sercem i wszystkiemi siłami, 3) łączą się z ideałami i celami instytucyi pracujących we wszystkich kierunkach na polu odrodzenia narodu“.

Wiec pełen podniosłego nastroju, zakończył się o pół do 1 w południe.

Zakończenie uroczystości.

Z zapadnięciem zmroku oświetlono kolorowemi lampkami pomnik Jagiełły i Jadwigi na plantach, u wylotu ulicy Krowoderskiej. Pod pomnikiem zgromadziła się tłumnie publiczność, wśród której było kilka wycieczek młodzieży z za kordonu. Odśpiewano szereg pieśni narodowych.

W 340 rocznicę Unii lubelskiej.

(11 Sierpnia 1569 roku).

Za Zygmunta Augusta odczuwano coraz więcej ze strony polskiej potrzebę zupełnego połączenia się z Litwą. Ścisłego zjednoczenia, unii realnej, domagało się przedewszystkiem stronnictwo tak zw. „egzekucyi“. Dopóki istniała wspólna dynastya jagiellońska, można było odnawiać i łatać unię przymierzami, ugodami, ale co będzie, gdy tej dynastyi nie stanie? Zygmunt August, mimo trzechkrotnych związków małżeńskich był bezdzietny: Unia mogła po śmierci jego rozerwać się, a wówczas, zamiast jednego potężnego państwa, powstałyby dwa słabe, z trudem mogące dać odpór chciwym na ich dziedziny sąsiadom. Czuła to dobrze i szlachta litewska, widząca jakie niebezpieczeństwo

zagraża Litwie od strony coraz potężniejszej Moskwy; ogół jej skłaniał się też i ze względów osobistych ku unii, rozumiał bowiem dobrze, że przyniesie mu ona pełnię praw, jaką posiada szlachta polska.

Nikomu jednak nie było tajne, że zupełna, ostateczna unia ma przeciwników w panach litewskich. Wprawdzie przez czas dwuwiekowej blizko łączności z Polską, zmieniły się znacznie podstawy ustroju społecznego na Litwie, ale bądź co bądź pozostał on odmienny. Pomijając szczegóły, dość powiedzieć, że kiedy w Polsce demokratyczny ruch szlachecki święcił swoje tryumfy, na Litwie właściwej możnowładztwo zachowało całą swą potęgę. A ponieważ prostem następstwem zupełnej unii z Polską, musiało być wprowadzenie urządzeń polskich na Litwę, przeto możnowładcy litewscy widzieli w najbliższej już przyszłości upadek swego uprzywilejowanego stanowiska, na rzecz zrównanej z nimi szerokiej warstwy szlacheckiej. Stąd też już na dwu sejmach (w Parczowie i Warszawie) przewlekali tę sprawę. Na sejmie warszawskim 1564 r. panowie litewscy, pod wodzą Radziwiłła Czarnego, marzącego o tronie litewskim po śmierci bezpotomnego Zygmunta Augusta, zgadzali się na wspólnego monarchę, wybranego na wspólnej elekcyi, ale chcieli mieć oddzielne sejmy, oddzielne prawa; żądali, aby Polakom nie wolno było nabywać ziemi na Litwie i aby Inflanty uznać za własność Litwy. Senat im odpowiedział wówczas: *unus rex, una natio, una lex;* Zygmunt August zaś zrzekł się dziedzictwa tronu litewskiego dla domu swego, aby usunąć jedną z przeszkód do zawarcia unii¹). Sejm go ogłosił ojcem ojczyzny, ale Litwini skorzystali z wieści o napadzie Iwana Groźnego na Litwę i opuścili Warszawę. Spisano tylko tak zwany recess warszawski, który miał być podstawą do dalszych układów.

Czyniąc zadość swym serdecznym zamiarom, naciskany przytem przez szlachtę polską, postanowił Zygmunt August przeprowadzić stanowczo sprawę unii i w tym celu wezwał Litwę, aby w grudniu 1568 przybyła na zwołany w tym czasie Sejm polski do Lublina.

Zapewne święta Bożego Narodzenia były powodem, że senatorowie i posłowie powoli się zjeżdżali i stąd dopiero z początkiem stycznia 1569 nastąpiło otwarcie sejmu „unii lubelskiej".

Lublin w tym czasie niezwykły przedstawiał widok. Spokojne miasto zawrzało ruchem, — stało się chwilową stolicą dwu państw, które po wspólnej doli i niedoli pod unią dynastyczną, miały się połączyć nierozerwanym węzłem. Dwór królewski zajął zamek, a poblizkie mu ulice napełniły się tłumem panów i posłów polskich, ruskich i litewskich. Niejeden z „wielmożów" przybył ze wspaniałym orszakiem, a Roman Sanguszko przyprowadził jeńców i działa na Moskwie pod Ułą zdobyte. Zainteresowani mającym stać się wypadkiem, podążyli do Lublina posłowie: cesarski, papieski, turecki, szwedzki... W czasie trwania sejmu pojawił się i piet-nastoletni książę pruski Fryderyk Albert II dla złożenia hołdu Zygmuntowi Augustowi. Zawitał też w orszaku 80 koni zniemczały Piast, Henryk II, książę Lignicki.

Sejm polski został otwarty 10 stycznia 1569. Obwołany na marszałka Stanisław Sędziwój Czarnkowski powitał króla uroczystą przemową, w której zalecał przeprowadzenie unii i naprawę Rzeczypospolitej w kierunku wzmocnienia obrony państwa, rozwinięcia szkół i lepszego zorganizowania ...aru sprawiedliwości.

Pomni na zachowanie się możnowładców litewskich na sejmie warszawskim, posłowie polscy, od... po otwarciu sejmu, uchwalili wybrać deputa... króla z prośbą, aby „Litwa przy deputatach ... i wszystkiego słuchała, bowiem *experentia* ... bowiem już tego na przedniejszych (poprze... sejmach doznali, że panowie litewscy pilno ...li, aby *populus* ich nie był przy tych tra...ch (naradach), a tak aby się nie ułakomili ...ta litewska) na polskie prawa, gdyby o nich ...czną sprawę wzięli (dobre pojęcie otrzymali). ...cż panowie osobno unię swoim ganili, odwo...nierzili, o której gdyby *populus terrae illius* ...laków sam słyszał, lepiejby rozumieli"²).

...kłady z panami litewskimi postępowały bar... ...woli. Król był pośrednikiem.

... połowie lutego panowie litewscy (na czele ... Radziwiłł Rudy, Eustachy Wołłowicz, starosta żmudzki Chodkiewicz i t. d.) na przedłożone sobie propozycye dali obszerną odpowiedź. Nie chcieli, aby Litwa wsiąkła w Polskę, a stąd podawali „artykuły". Osobno ma się odbywać koronacya króla w Krakowie, a osobno „ze wszystkiemi ceremoniami i zwykłym obyczajem" ma się odbywać w Wilnie podniesienie jego na stolicę w. ks. litewskiego. Osobno mają być zaprzysiężone przywileje, prawo wolności, dla Korony w Krakowie, a osobno dla Litwy w Wilnie; na spisanem potwierdzeniu przysięgi powinny znajdować się dwie pieczęcie: polska i litewska. Wspólne sejmy mają się odprawiać naprzemian, raz w Polsce, raz na Litwie — prócz tego mają być jednak osobne sejmy polskie, osobne litewskie. Dostojeństwa i urzędy litewskie powinny być zachowane na wieczne czasy. Polakom wolno będzie na Litwie osiadać, ale tylko litwini w granicach swego kraju otrzymywać mogą dostojeństwa, tak duchowne jak świeckie. Moneta ma być jednakowa, ale w Litwie „z napisami w. księcia litewskiego", Dalej żądali Litwini, aby stanowczo ustalić granice między Polską a Litwą; szło tu przedewszystkiem o Podole, Wołyń, Podlasie i Kijowszczyznę, których posiadanie było sprawą sporną; szło i o Inflanty. Bardzo silnie zastrzegła się Litwa przeciw t. zw. „egzekucyi", która groziła możnowładcom, szlachta polska bowiem rugowała panów z królewszczyzn, nieprawnie przez nich trzymanych. „Bo co za żałość — mówiła Litwa, a raczej arystokracya litewska — gdy ujrzy potomek w rękach innych to co ostało w domu jego dla pamiątki wiecznej tej poczciwej, wiernej, krwią oblanej zasługi jego przodków. Taka żałość ludzi, którymby się to działo, mogłaby do choroby przywieść"¹).

Pomimo tych warunków Litwa oświadczyła się, że o rozerwaniu związku nie myśli. To też zastrzegła się: „A gdyby, Boże uchowaj, za jakiem nieszczęściem ta się sprawa brackiego społku na ten czas tu między nami skończyć nie mogła, tedy my przedsię w onej dawno spowinowaconej przyjaźni i miłości z Waszmościami trwać swobodnie, słusznie a przystojnie zawdy chcemy... braterską miłość obiecujemy"²).

Odpowiedź taka nie zadowoliła Polaków, którzy też przypominali, że pierwszą formą unii, zawartej z Jagiełłą, było zupełne wcielenie do polskiej korony całej Litwy ze wszystkiemi jej lennemi księstwami ruskiemi. „Myśmy się Waszmościom, — mówili — Waszmoście nam spólnieśmy sobie darowali". Na to panowie, litewscy uznali że będzie najpraktyczniej chwycić się już raz wypróbowanego środka ucieczki. Do tego to faktu ściąga się ów znany dwuwiersz Kochanowskiego:

Litwa z nami unię uczyniła strojną:
Uciekła, zostawiwszy *Harabyrdą* z *Wojną*.

Stało się to po popielcu. Układy przerwały się. Pozostali jednak w Lublinie przedstawiciele ziem „spornych" Podlasia, Wołynia, i Kijowszczyzny (Ukrainy) oświadczyli chęć zupełnego połączenia się z Polską, gwarantując sobie tylko pewne przywileje i zastrzegając równouprawnienie dla wyznawców kościoła greckiego. Działał tu przeważnie wpływ Czartoryskiego, wojewody wołyńskiego, i Konstantego Ostrogskiego, wojewody kijowskiego. Polacy skorzystali z tej dobrej woli i wymogli na królu, że mocą swej władzy, jako właściciel państwa litewskiego, wcielił kolejno do Polski wszystkie te ziemie. Naprzód wcielone zostało Podlasie (5 marca) i zaraz podlasianie zasiedli w sejmie polskim obok mazowszan. 26 maja przyłączono Wołyń, a 6 czerwca Kijowszczyznę, przyrzekając nietylko równouprawnienie i swobodę religijną, ale i używanie w sądzie języka ruskiego. Później jeszcze przystąpiły do związku Prusy.

Roman Sanguszko, przysięgając Koronie, jako obywatel wołyński „złożył *gratias universas* królowi, senatowi i posłom". „Wołynianie — mówił — oddadzą nietylko swoje mienie i służby *(bona sua ac servitia)* lecz i dusze swoje *(etiam mentes suas offerunt).* Naszym przodkom i nam nie nowość *(nec id novum)* przynosić ofiary dla dobra Rzeczypospolitej i króla"³).

Wieść o fakcie wcielenia do Polski ziem ruskich uderzyła jak grom w możnowładców litewskich. Wiedzieli dobrze, że król i bez nich również potęgą swej władzy może wcielić Litwę do Polski. Lepiej więc będzie brać udział w układach, wytargować, co się da, dla siebie. Co więcej, szlachta litewska, po ucieczce możnowładców z Lublina, zajęła groźne względem nich stanowisko i oświadczyła zamiar zawrzeć, bez ich udziału, unię w formie całkowitego wcielenia Litwy do Korony.

Radzi nie radzi wrócili więc możnowładcy do Lublina i rozpoczęły się długie, nużące układy. Szły targi o każdy szczegół z osobna. Sama sprawa pieczęci na akcie koronacyi zabrała czasu nie mało. Krakowianie zwłaszcza nie chcieli przystać na to, aby umieszczona była osobna pieczęć litewska, bo kiedy jedno państwo, jedna Polska, to i jedna pieczęć być winna.

Król osłabiony, zmęczony, przeżywał ciężkie chwile, nieustannie bowiem do niego udawano się, aby godził „obradujące w dwóch osobnych izbach narody". Autor „Diariusza sejmu" jeszcze pod 24 czerwca, a więc na tydzień przed zawarciem unii, zapisuje: „Król kilka godzin był z pany (polskimi) i z Litwą Król Jegomość sam chodził od tych do tych, traktując, pracując, aby rzeczy przyszły ku skutkowi. Było tego przez sześć godzin, aż też i do niezdrowia przyszło królowi Jegomości"¹).

Nareszcie Litwa, po omówieniu wzajemnych ustępstw, oświadczyła królowi, że zostawia do jego woli, jako swego pana, aby uczynił co uznaje za potrzebne i sprawiedliwe. Natychmiast spisano dwa „przywileje" ze strony polskiej i litewskiej, a dnia *1 lipca* przystąpiono do złożenia przysięgi na unię wolnych z wolnymi i równych z równymi. Zostawmy opis tej przysięgi autorom obu diariuszów sejmu:

„Piątek *1 Julii. Vigilia sanctissimae Virginis Mariae.* Przysięgały rady koronne *ordine suo*, począwszy od arcybiskupa gnieźnieńskiego naprzód²) potym i litewskie rady, potym posłowie ziemscy koronni po województwach, potym posłowie ziemscy litewscy... Był ten akt *z wielkim płaczem* senatu polskiego i dziękowaniem Panu Bogu, że tego dał doczekać, aż też kanclerz koronny, który wydawał *rotam iuramenti* (rotę przysięgi) senatorom koronnym, nie mógł przed płaczem wydawać, ale kartę porzucił, aż marszałek wielki dokonał (dokończył); a potem utuliwszy się pan kanclerz, wydawał rotę panom radom (senatorom) jako i posłom polskim, zaś podkanclerzy litewski wydawał swym panom litewskim i posłom.³).

Rota koronna przysięgi brzmiała (w skróceniu): „Przysięgam Panu Bogu wszechmogącemu, iż odtąd i na potomne czasy te wszystkie sprawy tej wszystkiej unii albo zjednoczenia naszego spólnego ze wszystkiemi stanami i wszystkimi obywatelami W. K. Litewskiego... (będę) skutecznie i dostatecznie z potomstwem mojem dzierżeć i wypełniać.. aby ten związek mocnie i nienaruszenie trwał. Tak mi Panie Boże dopomóż i jego święta Ewangelia".

Litwa, według swej roty przysięgła „Zygmuntowi Augustowi i nierozdzielonemu ciału Korony Polskiej, iż nie będzie miała innego króla jak Zygmunta Augusta i jego potomków królów polskich, wolnie i wspólnie obranych". W dodatkowej rocie obiecywała, że: „tajemnice przez króla lub rady udzielone zachowa", a gdyby wiedziała „co szkodliwego, to o tem przestrzeże".

Po złożonej przysiędze, arcybiskup Uchański dziękował Zygmuntowi Augustowi, że: „za jego staraniem Pan Bóg do końca ten akt zdawna pożądliwy przodkom naszym przywieść raczył"⁴). Następnie zwrócił się arcybiskup ku Litwie, winszując jej zgody, jedności, poczem starosta żmudzki Chodkiewicz, odpowiadając arcybiskupowi, zapewniał panów polskich, „iż nie list, nie pergamin, nie pieczęci, ale cnota a chuć ich (Litwinów) i miłość do tej (zgody, jedności) je zawdy wieść będzie jako wiodła" i żądał od panów polskich „dołożenia próśb" do króla, aby to „cokolwiek się postanowiło i za łaską Bożą skończyło... potwierdzić raczył". Uchański uczynił natychmiast temu życzeniu zadość, a król „uczynił rzecz", dziękował Bogu i obiecał „według powinności", co będzie trzeba zrobić i potwierdzić⁶).

Następnie „król wstał z stołka i szedł prosto do konia, bo mu dzierżano koni w pogotowiu. W tenże czas gdy jechał do kościoła był wielki

¹) Volumina legum II 643—771.
²) ...ojałowicz. Dziennik lublinskawo sejma. str. 5.

¹) Kojałowicz loc. cit. 88.
²) Działyński Źródłopisma do dziejów unii Kor. Pol. i w. ks. Lit. III Diariusz lubelskiego sejmu unii str. 50.
³) Kojałowicz 399.

¹) Kojałowicz 464.
²) Diariusz Działyńskiego podaje, że po przeczytaniu przywilejów „spólnie sobie napisanych", arcybiskup (gnieźnieński Uchański), klęknąwszy z biskupy na ewangelię św. Jana, we mszale napisaną, położywszy dwa palce przysięgali... (str. 198).
³) Kojałowicz 485—6.
⁴) Diariusz Działyńskiego 199.
⁵) Diariusz Działyńskiego 199.

deszcz niezmierny. I jechali do kościoła, do miasta, świętego Stanisława. Panu Bogu dziękował król z nabożeństwem *cum senatu et nuntiis et cum magna frequentia hominum* (z senatem, posłami i wielką ilością ludzi). A dziękował z płaczem, Panu Bogu „chwałę dawał“, kazał śpiewać *Te Deum* i sam śpiewał. Potem udał się na zamek. „Tak się ten dzień skończył“ [1]).

Ze wspomnianych „przywilejów“ doszedł nas tylko przywilej polski, podpisany przez „radę duchowną, jak i świecką i posłów ziemskich korony Polskiej“.

Oznajmiali oni „tym to listem, iż mając ustawicznie przed oczyma powinność naszą przeciw ojczyźnie swej sławnej Koronie Polskiej, którejśmy wszystkę poczciwość, ozdobę, pożytek pospolity, a najwięcej umocnienie od niebezpieczeństwa tak wnętrznego, jak zewnętrznego opatrzyć powinni... bacząc też na chwalebny związek i społeczność przez przodki z obywatelami w. ks. litewskiego uczynioną, listy, przysięgami, pieczęciami, czciami obojej strony umocnioną, statecznością obojej strony dzierżaną, lecz potem niejako zatrudnioną“ (zepsutą), — prosili zawsze tak Zygmunta I, jak Zygmunta Augusta, aby „co się z tej społeczności (zjednoczeniu) wykroczyło, w swą rzecz wstawić raczyli“. Za łaską Boga i króla odbyły się w tym celu zjazdy warszawski i parczowski (1563 i 1564), które stanowiły „wstępek“ do naprawienia tej po części „naruszonej unii“. Wreszcie zwołany został sejm i zjazd do Lublina, na którym uznano, że „aczkolwiek były stare spisy przyjacielstwa, sprzymierzenia“ wszakże „dla mocniejszego spojenia i wzajemnej miłości braterskiej“ trzeba unię ponowić. A więc zgodzono się, że „Królestwo Polskie i W. X Litewskie jest jedno nieróżne i nierozdzielne ciało, a także nieróżna, ale jedna spólna Rzeczpospolita, która się z dwu państw i narodów w jeden lud i państwo zniosła i spoiła. A temu obojemu narodowi, żeby już wiecznemi czasy jedna głowa, jeden pan i jeden król spólny rozkazował... spólnie obran, w Krakowie koronowan“. Dalej mówi przywilej, że mają być wspólne sejmy, *foedera et pacta* mają być wspólnie zawierane, że będzie jedna moneta, będą jedne cła, że obywatelom obu państw w jedno złączonych, wolno będzie wszędzie osiadać i nabywać dobra, że wreszcie warują się wszelkie przywileje osób litewskich“ [2]).

Przywilej był „pisan i dan na tym sejmie spólnym lubelskim pierwszego dnia miesiąca lipca r. p. 1569“. Pierwszy podpisał go Jakób Uchański, arc. Gniezn. Między dalej podpisanymi znajdujemy ze strony polskiej nazwiska „nowych Polaków“, a mianowicie takich przedstawicieli Rusi jak: „Konstanty Konstantynowicz książe Ostrogski kijowski (wojewoda), Aleksander książe Czartoryski wołyński (w-da), Roman książe Sanguszkowic bracławski.

Zawarta w Lublinie unia daleką była od wcielenia Litwy, zostawiono jej bowiem szeroką autonomię. Posiadała one swoje osobne wojsko, własnych ministrów, zupełnie oddzielny swój zarząd. Właściwie nie była to autonomia, ale był to dualizm, do ostatnich granic posunięty. Jedynym potężnym łącznikiem był wspólny sejm, bez niego bowiem stosunek Polski do Litwy miałby prawie cechy unii personalnej. Oprócz wspólnego monarchy pozostałaby tylko wspólna polityka zagraniczna, moneta i granica celna. Z życzeń Litwinów nieuwzględniono właściwie tylko osobnego „podniesienia“ króla na W. Ks. litewskie, osobnej jego przysięgi“, osobnych pieczęci. Sprawa spornych ziem ruskich była już, jak wiemy, poprzednio rozstrzygnięta. Zostawiono Litwinom ich specyalne urzędy, jakich nie miała Korona, a nigdy aż do końca istnienia państwa polskiego nie narzucano Polaków Litwie na jej dostojeństwa.

Sejm lubelski ciągnął się jeszcze do 12 sierpnia. W tym czasie (19 lipca) Fryderyk Albert, książę pruski, złożył hołd lenniczy.

W przeddzień zamknięcia sejmu odbyło się w kościele uroczyste ogłoszenie zatwierdzenia unii oraz 88 ustaw na sejmie uchwalonych.

W „potwierdzeniu uniey między narody polskimi i litewskimi“ Zygmunt August oznajmiał wszem wobec i każdemu z osobna, iż „czyniąc zadość prośbom i żądliwościom wszech stanów Korony, jako i samej potrzebie Rzeczypospolitej, także powinności a urzędowi naszemu królewskiemu i abyśmy Unię W. X. Litewskiego z Koroną Polską przez pradziada naszego i wszystkie inne Stany tych państw uczynioną... ku skutkowi przywiedli, jakoby nigdy niczym ani się naruszać, ani nigdy rozrywać nie mogła“ — zwołał sejm walny do Lublina, na którym, „przy wielkim zbiorze ludzi stanów wszelkich narodów różnych“ omówiono i utwierdzono zasady unii. „Umacniając“ te uchwały, król zawiadamia dalej, iż „przedtem wołyńskie, kijowskie i podlaskie ziemie ku Koronie Polskiej zdawna przed zaczęciem unii należące“, tejże Koronie powrócił i że obywatele tych ziem „mają być uczestniki wolności, swobód, własności narodu polskiego“. Następnie król naznaczał Warszawę na sejmy walne, pozostawiał sejmiki powiatowe „jak były wedle obyczaju“, wreszcie dawał „miejsce panom radnym litewskim tak duchownym jak świeckim między pany radne koronne, a także posłom ziemskim województw litewskich między posły województwa Korony“ [1]).

[1]) Kojałowicz 285—7. Diariusz Działyńskiego zgodnie rzecz podaje.

[2]) Volumina legum II 766—775.

Fakt ten ogłoszenia unii uwiecznił słup z ciosowego kamienia z posągami Jagiełły i Jadwigi, wzniesiony później w Lublinie przed pałacem radziwiłłowskim, odziedziczonym przez króla po ukochanej Barbarze.

* * *

Dzień owego uroczystego „potwierdzenia“ (11 sierpnia) obchodzimy jako rocznicę zawarcia unii lubelskiej, choć właściwie stanęła ona i zaprzysiężoną została dnia 1 lipca.

Ród Jagiellonów, ta *diva progenies*, jak go współcześni nazywali, rozpoczął dzieło unii, a ostatni męski rodu tego potomek dokonał wielkiego dzieła, będącego chlubą naszej przeszłości narodowej.

Wielki król powinien był umierać spokojnie, widząc wspaniały rezultat swych zabiegów, patrząc na urzeczywistniony cel swego żywota. Ale obawa, aby to wielkie dzieło nie upadło, nie opuszczała go do ostatniej chwili życia. W testamencie swym przeto zaklinał oba narody, aby unii dochowały.

„Rad duchownych i świeckich — pisał — rycerstwo, szlachtę, mieszczan, przez Boga żywego, przez miłość Rzeczy Pospolitej prosimy i upominamy i zaklinamy, aby będąc obywatelami, tak Korony jako i W. X. Litewskiego, byli jednem nierozdzielnem na wieki ciałem, jednym ludem, jednym narodem. Chcąli, aby Pan Bóg, który będąc jednym w jedności się kocha, jedność miłuje, pomnaża, wspomaga, długo te państwa zjednoczone wspomagał, przeto tym naszym testamentem, obiemu państwu, Koronie Polskiej i W. X. litewskiemu dajemy i odkazujemy i zostawiamy miłość, zgodę, jedność... Racz Panie Boże w tym obojgu państwie utwierdzić, coś w nim, przez nas, sprawił; racz oboi ten lud w jedności spojony, w niezmyślonej miłości wiecznie chować“ [2]).

I stało się zadość życzeniom wielkiego króla. Dwa narody w „niezmyślonej miłości“ dotrwały aż do dni naszych. Szły razem obok siebie w doli i niedoli, w tryumfach i męczeństwie...

A choć obecnie pozostała tylko unia moralna, a owa „społeczność przez przodki uczyniona“ zdaje się „niejako zatrudnioną“ wskutek matactw obcych i źle pojętego patryotyzmu „nowych ludzi“, nierozumiejących, iż unia została zawartą nie dla pochłonięcia jednej narodowości przez drugą, lecz dla nadania im pod „tarczą miłości“ (słowa aktu horodelskiego) siły odpornej wobec dążeń zaborczych Wschodu i Zachodu — to miejmy nadzieję, że przeszło pięć wieków wspólnego i bratniego pożycia dwu narodów nie pójdzie na marne, że minie chwila sztucznie wzniecönych nieporozumień, a pozostanie jeszcze trwałym na długo „chwalebny związek“ równych z równymi i — daj Boże — wolnych z wolnymi.

Kazimierz Bartoszewicz.

Niemcy w Galicyi.

Urzędowa statystyka podaje na podstawie ostatniego spisu ludności w r. 1900 liczbę Niemców w Galicyi okrągło 212.000, co w stosunku do ogólnego zaludnienia kraju przedstawia odsetkowo 1·66%. Liczba sama dla siebie niewielka pozornie, jednak w naszym wyjątkowem położeniu, wśród istniejącej konstelacyi politycznej i przy nadzwyczaj smutnych doświadczeniach, jakie zrobiliśmy pozostając w stosunkach z Niemcami, w szczególności zaś z kolonizacyą niemiecką ziem naszych, oznaczającą dla nas katastrofę narodową — liczba nabiera znaczenia i wkłada na nas obowiązek zajęcia się bliżej sprawą ludności niemieckiej w Galicyi dla obrony interesów narodowych, który jeśli ta ludność dziś jeszcze nie zagraża, w przeszłości atoli przy możliwej zmianie stosunkowo zagrać i szkody narodowe wyrządzać może.

[1]) Volumina legum 775—777.

[2]) W dziele Michała Balińskiego: Historya Wilna t. II, str. 169.

Kolonizacya niemiecka na ziemiach polskich nie przedstawiała się w początkach nigdzie groźnie, owszem widziano w niej, nieliczące się z jej niebezpieczną stroną narodową, nie małe korzyści kulturalne i gospodarcze i dlatego znajdowała ona gorliwe poparcie naszych królów i książąt, duchowieństwa, a w szczególności klasztorów i szlachty polskiej.

Czem ona stała się dla nas, wystarczy rzucić okiem na naszą pierwotną posiadłość ziemską. Rozległe ziemie rdzennie polskie przedstawiają zgroźny przejmujący widok olbrzymiego cmentarzyska polskiego, na którym dziś kwitnie życie i potęga Niemiec. Stefan Komornicki [1]) oblicza dokładnie, że kolonizacya niemiecka i jej następstwa, zabory niemieckie, pochłonęły do r. 1848 z naszego obszaru etnograficznego nie mniej jak 4000 mil □ czyli 230.189 □ kl. — przestrzeń 3 razy większą niż królestwo bawarskie, a przeszło 16 razy tak wielką jak królestwo saskie. Jeśli do tego wliczymy germanizacyę plemion lechicko-polskich, które nie wchodziły w skład państwa polskiego, jako też ubytek od r. 1848, obszar ziemski naszej straty narodowej wynosi jeszcze znacznie więcej.

Wszak Niemcy nigdy orężem nie zdobywali ani Pomorza, ani Śląska. Są to podboje kolonizacyi niemieckiej, podobnie jak księstw meklemburskich, ongi ziem Obotryckich, gdzie do dziś dnia panuje w Zwierzynie stara dynastya słowiańska Niklotowiczów. Czem innem jak kolonizacyą niemiecką są dzisiejsze Prusy, łupiące Polaków ustawami wyjątkowemi? Przeklętej pamięci Konrad Mazowiecki nie miał świadomości zbrodni ogromnej, jaką popełnił wobec narodu polskiego, osadzając kolonizatorów krzyżowych na ziemiach polskich.

W stosunku naszym do ludności niemieckiej wogóle — Galicya wyjątku stanowić nie może — winniśmy zawsze mieć na uwadze jakość tej ludności, nasze wyjątkowe położenie polityczne i doświadczenia dziejowe najsmutniejsze

Niebezpieczeństwu trzeba wcześnie zapobiegać, by nie było zapóźno. Nakazuje to roztropność i oględność narodowa. Dla skutecznego zaś działania obronnego nieodzowną jest rzeczą zbadać i poznać dokładnie stosunki, znać dobrze nieprzyjaciela zagnieżdżającego się na ziemi, naszej ziemi, środki obronne bowiem na oślep przedsiębrane, iść będą w większej części na marne.

Niemcy u nas organizują się narodowo. Utworzyli „Związek chrześcijańskich Niemców w Galicyi“, wydają we Lwowie niemieckie pismo jako organ tego Związku, występują nagle z żądaniem mandatów poselskich dla siebie do sejmu krajowego i parlamentu, wichrzą w kraju i rozwodzą krzyki bez najmniejszego powodu o ucisku niemieckiej narodowości w Galicyi, (co znajduje już odgłos w dziennikarstwie wiedeńskiem) i grożą nam niemieckiemi stronnictwami w parlamencie jako też całym narodem niemieckim, który ujmie się ich wrzekomych krzywd i dopomoże im do uzyskania ich praw. Co znaczy prawo Ni[em]ców — wiemy: rozbój i kradzież obcego mie[nia]. Wszystko wyzywa nas do pomyślenia n[a] se[rio] o środkach obrony i do tłumienia niebez[pieczeń]stwa w zarodku, jak ognia żarzącego się, kt[óry w] wietrze niepomyślnych okoliczności groźny[m bu]chnąć może pożarem.

Przypatrzmy się bliżej Niemcom w G[alicyi], ich rzeczywistej ilości i jakości, ich stosunkom [i] rozsiedleniu się w naszym kraju.

Przedewszystkiem odróżnić należy żydów-[Niem]ców od innych, prawdziwych. W ogólnej l[iczbie] 212.000 ludności niemieckiej w Galicyi zezna[ło na]rodowość niemiecką nie mniej 132.000 jak żydó[w], iż na Niemców-chrześcian przypada tylko okrągło 80.000. Przy obecnym ruchu syjonist[ycznym] i mając na uwadze, iż przeważna część tych Niemców przypada na Galicyę wschodn[ią] między żydowstwem narodowo-niemieckie[g]... cia niema — można z liczby 132.000 co ... doliczyć mniej więcej 20.000 żydów do N[iemców] a mianowicie zamieszkałych w kresowych ... dnio-galicyjskich powiatach i pewną część ... skiej ludności po największych miastach

[1]) Zabory i kolonizacya niemiecka na ziemiac[h] ... do r. 1848. Lwów 1894.

skich. Tym sposobem ludność niemiecka redukuje się na mniej więcej 100.000 dusz. Z liczby Niemców urzędowo podanej przypada na wschodnią Galicyę 176.000 = 3·50, na zachodnią tylko 36.000 = 1·4.

W wschodniej części kraju przewyższa odsetek ludności niemieckiej (3·5°) ogólno-krajowy o 2·8°, zaś w liczbie Niemców przypadających na tę część kraju 175.000, znajduje się żydów 132.000, tak iż prawdziwych Niemców jest okrągło **53.000**.

W zachodniej części kraju odsetek ludności niemieckiej (1·4) mniejszy o 0·26° niż ogólno-krajowy, a liczba Niemców wynosi 36.000, w tem żydów 10.000, zatem Niemców chrześcian 26.000.

Najwięcej ludności niemieckiej wykazują w Galicyi powiaty: lwowski (wraz z miastem Lwowem) 27.800, doliniański 16.900, bialski 15.800, drohobycki 11.800, potem idą powiaty: kołomyjski 10.900, nadworniański 10.100, kosowski 10.000, śniatyński 9.700, stryjski 9.600, brodzki 8.800 i krakowski (wraz z miastem) 8.500. Z tych 11 powiatów przypada tylko dwa na Galicyę zachodnią, zaś 9 na wschodnią.

Najmniej ludności niemieckiej — niżej 1000 dusz — posiadają powiaty: Bóbrka, Bochnia, Borszczów, Brzesko, Brzeżany, Brzozów, Buczacz, Chrzanów, Dąbrowa, Gorlice, Grybów, Horodenka, Husiatyn, Jasło, Kolbuszowa, Krosno, Łańcut, Limanowa, Lisko, Mielec, Mościska, Myślenice, Nowy Targ, Nowy Sącz, Nisko, Peczyniżyn, Pilzno, Podgórze, Podhajce, Rohatyn, Ropczyce, Rudki, Rzeszów, Sanok, Skałat, Sokal, Strzyżów, Tarnobrzeg, Tarnów, Trembowla, Turka, Wadowice, Wieliczka, Zaleszczyki, Zbaraż i Żywiec, razem 46 powiatów, z których w 16 powiatach — 11 zachodnio-galicyjskich czyli czysto polskich i w 5 wschodnio-galicyjskich czyli mieszanych — liczba ludności niemieckiej nie dochodzi nawet 100 dusz. (Powiaty te wymieniliśmy drukiem nierozstrzelonym).

Z wyjątkiem powiatu bialskiego i krakowskiego niema w polskiej części kraju żadnego powiatu, w którymby ludność niemiecka dosięgała 1000 dusz, w 11 zaś polskich powiatach (Brzozów, Dąbrowa, Grybów, Krosno, Limanowa, Nowy Targ, Myślenice, Pilzno, Ropczyce, Strzyżów, Wadowice) wynosi ludność niemiecka razem tylko 224 dusz.

Z miejscowości największą liczbę ludności niemieckiej wykazuje miasto Lwów, bo przeszło 20 tys., drugie miejsce zajmuje Kołomyja z prawie 10000, potem idą Brody przeszło 8 tys., Drohobycz prawie 7 tys., Kraków 7½ tys. w tym wojska prawie 2 tys., Biała przeszło 6 tys., Lipnik 5½ tys., Nadwórna prawie 4 tys. Bolechów i Śniatyn po 3½ tys., Przemyśl prawie 3 tys. w tem wojska 2 tys., Dolina 2½ tys., Stanisławów, Delatyn, Stryj przeszło 2 tys. i Hałcnów prawie 2 tys. Prócz tych liczą ludności niemieckiej od 1000—2000 dusz: Zabłotów, Bohorodczany, Kamionka Strumiłowa, Stary Sambor, Knihinin Wieś, Wilamowice i Skole. Z tych miejscowości przypada na Galicyę zachodnią 5, na wschodnią zaś 17.

Przytoczywszy w ogólnych liczbach rozsiedlenie niemieckiej ludności w naszym kraju, przystępuję do właściwego przedmiotu, do kolonji niemieckich u nas, na które przedewszystkiem zwrócę uwagę.

Podług prof. dra Buzka [1]) znajduje się w Galicyi kolonji niemieckich wogóle 160, z czego przypada na wschodnią część kraju 131, na zachodnią 29. Harlos [2]) podaje znaczniejszą ich liczbę, mianowicie 223, dzieląc na 173 osad ewangelickich i 50 katolickich. Różnica w powyższych podaniach pochodzi stąd, iż ostatni dolicza do osad niemieckich miejscowości będące przysiółkami.

Z 80.000 ogólnej prawdziwie niemieckiej ludności w Galicyi, bez żydów, przypada na wschodnią część kraju 54.000, na zachodnią 26.000, w tem ewangelików 48.000, katolików 32.000.

Harlos podaje rozkład ludności niemieckiej w 173 miejscowościach wiejskich ewangelickich następujący:

64 miejscowości z ludnością od 50—100 dusz, 47 miejscowości z lud. od 100—200 dusz, 25 miejscowości z lud. od 200—300 dusz, 11 miejscowości z lud. od 300—400 dusz, 6 miejscowości z lud. od 400—500 dusz, 7 miejscowości z lud. od 500—1000 dusz, 2 miejscowości z lud. nad 1000 dusz, 1 miejscowość z lud. przeszło 2000 dusz.

[1]) Proces wynarodowienia w świetle nowszej statystyki. Przegląd prawa i administracyi. Lwów 1903.

[2]) ... das Deutschtum in Galizien lebensfähig?" „Deutsche Erde". Zeszyt 4. Gotha 1903.

Ludność niemiecką katolicką w 50 miejscowościach rozdziela na:

7 miejscowości z ludnością 50—100 dusz, 22 miejcowości z lud. 100—200 dusz, 8 miejscowości z lud. od 200—300, 3 miejscowości z lud. 300—400 dusz, 6 miejscowości z lud. 400—500, 2 miejscowości z lud. 500—1000, 2 miejscowości z lud. więcej jak 1000.

Najściślej zwarte skupienie niemieckie przedstawia okolica Biały, z ludnością niemiecką wynoszącą przeszło 15.000, następnie na Podkarpaciu ruskiem, w dawniejszym obwodzie tak zwanym „cyrkule" stryjskim, mianowicie w obecnych powiatach: doliniańskim, stryjskim i drohobyckim, wkońcu w powiecie lwowskim, cieszanowskim, kamienieckim i jaworowskim.

Kolonie niemieckie w Galicyi dzielą się historycznie na kilka warstw. Osady w okolicy bialskiej są najstarsze. Sięgają one bowiem połowy wieku XIII. a pochodzą z osiedlenia niemieckiego, przedsięwziętego przez króla Bolesława Wstydliwego po spustoszeniach strasznych w Małopolsce, jakich dokonał wielki napad Mongołów. R. Temple [1]), R. Kaind [2]), równie S. Morawski [3]), J. Łepkowski [4]) jako też inne źródła stwierdzają zgodnie, iż wówczas król polski wspólnie z księciem opolskim, do którego było księstwo oświęcimsko-zatorskie należało, przedsięwzięli na wyludnionych ziemiach dzisiejszych starostw: Kraków, Żywiec i Biała, kolonizacyę niemiecką na większe rozmiary. Pozostałością tej kolonizacyi z przed przeszło 750 lat są miejscowości w Galicyi: Lipnik, z którego później powstała Biała, następnie Hałcnów i Wilamowice. Widzimy w tem dowód, jak w Polsce obchodzono się z cudzoziemcami, z drugiej zaś strony uderza nas ogromna siła odporna i zachowawcza garstki niemieckich osiedleńców, którzy przez tyle wieków przetrwali narodowo.

Drugą warstwę kolonialną stanowi osadnictwo niemieckie przedsięwzięte przez cesarza Józefa II. po zaborze Galicyi w celach germanizacyjnych, — trzecią kolonizacya prywatna, nieco późniejsza, dokonana przez niektórych szlachciców, usiłujących naśladować cesarza, by sobie tym sposobem zaskarbić jego względy, pomiędzy którymi pierwsze miejsce należy się hr. Mierowi właścicielowi klucza Radziłowskiego, leżącego w byłym obwodzie złoczowskim. O tym polskim kolonizatorze pisze współczesny S. Bredetzky [5]), superintendent ewangelicki we Lwowie: „Niedawno zmarły hrabia i starosta Mier należy do owych polskich magnatów, którzy gorliwie szli za przykładem cesarza Józefa II. naśladując na małe rozmiary to, co zwiastował w całości jego system kolonizacyjny". Jego serwilizmowi czarnożółtemu zawdzięczamy istnienie aż dziewięciu niemieckich osad protestanckich (Niemieckie Łany, Sapeczanka, Hanunin, Józefów, Mierhof (Mierów), Sabenówka, Stanin, Sarzno i Heinrichsdorf) w dzisiejszym starostwie Kamionka Strumiłowa. Tak samo założyli polscy właściciele obszarów dworskich osady niemieckie: Grodzkie, dziś przedmieście Nowego Sącza, Sygnówka i Bogdanówka koło Lwowa, Rehberg w powiecie sądowym Krakowiec, Nowy Tyczyn w powiecie trembowelskim (hr. Lanckoroński) i w powiecie podhajeckim Bekersdorf (dama dworu Justyna z Rogalewskich Bekerska). Wkońcu tworzą ostatnią warstwę kolonizacyjną osady: Rozlucz, Wolcze i Dobrohostów w powiecie politycznym drohobyckim, założone przez cesarza Franciszka I.

Nie mogę tu wchodzić w szczegóły kolonizacyi niemieckiej z czasów niepodległości państwa polskiego. Przedmiot to bardzo rozległy, nie dający się pomieścić w ramy niniejszego sprawozdania. Kilka prac z tego zakresu ogłosiłem w pismach czasowych, mianowicie w *Bibliotece Warszawskiej* i miesięczniku *Ognisko*. Żałować należy, iż piśmiennictwo nasze nie posiada dotychczas systematycznego i wyczerpującego dzieła o tej kolonizacyi, które mogłyby stać się dla nas rodzajem księgi mądrości narodowej.

O kolonizacyi z czasów polskich zniewolony jestem ograniczyć się na ogólnych uwagach i zwrócić uwagę na aktualne znaczenie jej pozostałości w naszym kraju w kresowym zakątku bialskim, narodowo dla nas najniebezpieczniejszym.

[1]) Historisch-Ethnographisches aus den Trammern altdeutschen Wesens im Herzogthume Ausschwitz. Pest 1868.

[2]) Geschichte der Deutschen in Galizien bis 1772. Gotha 1907.

[3]) Sądeczyzna. Kraków 1863.

[4]) Przegląd zabytków przeszłości z okolic Krakowa. Warszawa 1863.

[5]) Vaterlandische Blätter Nr. 36 Wiedeń 1810.

Lubo starostwo bialskie liczy wogóle mało co nad 16 tys. ludności niemieckiej, przeważnie wyznania katolickiego, oddziaływa niemieckie skupienie bialskie, przy naszej bierności, germanizująco na całą okolicę. Prof. dr Buzek wykazuje, iż w ostatnim lat dziesiątku, t. j. od r. 1890—1900 przybyło w okolicach Biały ponad naturalny przyrost ludności prawie tysiąc Niemców więcej, co uważać należy jako wynik giermanizacyi. Niemcy tego zakątka kresowego, szczelnie zwarci w Biały, Lipniku i Hałcnowie, a oparci o Bielsko i dziesięć przylegających wsi na Śląsku, czerpią swoją siłę z zasobności przemysłowej, z polskiej pracy, gdyż w samodzielniach i rękodzielniach bialsko-bielskich pracują ciężko za marnem wynagrodzeniem robotnicy polscy. Promienie giermanizacyi z Biały-Bielska idą nawet do pogranicznych powiatów galicyjskich. Obszary dworskie na pograniczu galicyjsko-śląskiem — od Dziedzic do Wadowic i Żywca znajdują się w większej części w ręku Niemców lub zaprzańców, będących członkami rozmaitych towarzystw niemieckich. Tak w Jawiszowicach, Bestwinie, Mikuszowicach, Czańcu, Korbielowie, Milowcach, Lipowej, Obszarach, Malcu, Międzybrodziu, Wieprzu i w innych jeszcze miejscowościach. Gdym zwiedzał niemiecki zakątek bialski otrzymałem w Hałcnowie z polskiej strony sprawozdanie o tamtejszych stosunkach, które jako bardzo znamienne zasługuje na dosłowne przytoczenie.

Oto osnowa jego:

„Dziś Niemcy w Hałcnowie nienawidzą Polaka z duszy i serca. Jeśli spotkają się z nami w karczmie, wszczynają bójkę; jeśli w kościele, to patrzą na nas groźnie z podełba. Język polski usunęli ze szkoły, a obecnie starają się o wyrzucenie Polaków z kościoła, chociaż proboszcz jest Polakiem i broni się biedaczysko jak może. Żyda, który wydzierżawił lokal od gminy na sklep, zmuszono do usunięcia napisu polskiego. Rzemieślnik Polak nie może tu przyznawać się do narodowości polskiej, inaczej nie mógłby wyżyć i w dodatku nie miałby skóry całej. Niemcy panują u nas zapomocą pięści. To rzecz codzienna. Tym sposobem Owczarze, Staniki, Warzecey, Sporysze i inni zupełnie się zniemczyli. Olma będąc burmistrzem zmienił samowolnie starą polską pieczęć gminną na niemiecką. W Lipniku bliższym Białej jeszcze gorzej, jak u nas w Hałcnowie... Chłopi nasi w okolicy, nie wszyscy dostatecznie uświadomieni narodowo, widząc taką przewagę niemiecką, przyswajają sobie wyrazy i frazesy niemieckie, popisując się tem. Kaleczą obydwa języki. Wstydzą się nawet własnego języka, zostającego w poniżeniu. Uczniowie niemieckiego gimnazyum w Bielsku i innych szkół niemieckich, pochodzący z wsi polskich, odwracają się od swoich stając się dla swojszczyzny obojętnymi. Gorzej jeszcze z robotnikami, których butni fabrykanci niemieccy przepędzają siłą mocy przez alembik giermanizacyi. Muszą się uczyć szwargotu niemieckiego a potem z głupoty, chcąc uchodzić za coś lepszego, popisują się niemczyzną na ulicy i w fabryce. Niedawno temu sam otrzymałem od pewnego znajomego gospodarza z Kóz, Polaka z dziada pradziada, zaproszenie na wesele syna po niemiecku. Splunąłem i podarłem je na kawałki. Doprawdy nie rozumiem i nie pojmuję co sobie nasz rząd krajowy i sejm myślą zdając nas na łaskę i niełaskę Niemców".

Zaiste trudno pojąć gnuśną bierność tych czynników.

Swojego czasu wniósł był w parlamencie wiedeńskim poseł Kubik interpelacyę w sprawie oburzających gwałtów i bezprawia, jakiego się dopuszczają Niemcy w Hałcnowie wobec ludności polskiej. Interpelacyę zbyto milczeniem, a rzeczy idą w niemieckim zakątku bialskim dawnym trybem.

Ta garstka Niemców opierająca się o sąsiednich Niemców śląskich, z którymi razem tworzy odrębny narodek w sile mniej więcej 50.000 dusz, popierana przez towarzystwa wszechniemieckie austryackie i zagraniczne, zamożna i oświecona, zorganizowana w miejscowych stowarzyszeniach, bezwzględna i brutalna do najwyższego stopnia, przedstawia bardzo silny posterunek i jest rozsadnikiem giermanizacyi poniekąd dla całej Galicyi. Stąd bowiem wychodzą galicyjscy pastorowie i nauczyciele niemieckich szkół wyznaniowych, przejęci duchem hakatystycznym, panującym w śląskich niemieckich zakładach naukowych, między którymi wybitne w tym kierunku zajmuje stanowisko ewangelickie seminaryum nauczycielskie w Bielsku.

Przybysze ci, gościnnie przyjęci przez przodków naszych i osadzeni na prastarej ziemi polskiej, uważają nie tylko zakątek kresowy, w którym są skupieni, za swoją prawowitą, wyłączną własność, lecz roszczą sobie prawa do terytoryum byłego księstwa oświęcimskiego i zatorskiego, obejmującego starostwo bialskie, wadowickie i żywieckie. Wysunął się też szereg pisarzy niemieckich: Temple, Kaindl, Hansliki, dr. Bukowski i inni usiłujący temu zuchwałemu uroszczeniu niemieckiemu dać pewne historyczne uprawnienie przez głoszenie istnych cudów o „zniszczonej kulturze niemieckiej" w tych stronach. Na podstawie kłamstw historycznych, między któremi nie brak zapewnienia, iż w pierwszych wiekach po Chrystusie Giermani zajmowali północ Karpat, starają się rzecz tak przedstawić, iż giermanizacya, idąca na zdobycz, jest tylko powracającą falą narodową na ziemiach gdzie pierwotnie siedzieli Niemcy, a następnie szczytne spełniali posłannictwo kulturalne, z którego pozostały tylko szczątki w Białej, Lipniku i Hałcnowie.

Biała założyła muzeum miejskie dla ocalenia wszystkiego „co pozostało z wielkiej niemieckiej spuścizny kulturalnej w okolicy", jak się wyraża obwieszczenie rady gminnej, które dodaje, iż nam Polakom muzeum wyrządzi także przysługę przez ułatwienie „rozpoznawania odgraniczania polskiej kultury od niemieckiej".

W Biały nawet kościół katolicki posiada znamiona instytucyi giermanizacyjnej. Polacy katolicy parafii bialskiej ogłosili niedawno zażalenie publiczne, które zasługuje na uwagę. Oto wyjątki z niego:

„W kościele bialskim nie ujrzysz żadnego napisu polskiego... Gdy przed rokiem objął w zarząd parafię bialską dzisiejszy ks. proboszcz Rychlik, poszli do niego w deputacyi obywatele-Polacy z prośbą, by w niedziele odbywały się nieszpory polskie. Ks. proboszcz pocieszał ich robiąc nadzieję na później, lecz upłynął rok, a o polskich nieszporach nic nie było słychać. Więc znowu udała się do ks. proboszcza polska deputacya z tą samą prośbą... Deputacya, dla poparcia słusznej sprawy swojej, przedłożyła spisy bractwa apostolstwa i różańcowego jako też spis członków stowarzyszenia rękodzielniczego, z którego wynika przewaga Polaków nad Niemcami, że zatym parafia bialska jest polską.. Ks. proboszcz odesłał deputacyę do kardynała do Krakowa wymawiając się, iż sam nic nie może uczynić. Delegaci polscy udali się do Krakowa, zostali dobrze przyjęci przez kardynała Puzynę, równie przez biskupa Nowaka. Znowu wróciła deputacya tylko z obietnicą... Smutne to nad wyraz, że kościelna władza w Krakowie tak lekkiem sercem traktuje Polaków-katolików na kresach, w mieście Biały".

Beskiden-Verein rozgospodarował się w Beskidach i na Babiej Górze, którą przezwał *Hexenberg* w najlepsze. Potworzył niemieckie drogowskazy wszędzie. O pobliskiej śląskiej *Kamnitzer-Platte* mało już kto wie nawet, iż nazywa się po polsku Sędzielna.

Na pruski sposób wzięto się też do zmieniania polskich nazw miejscowych na niemieckie. Kozy zowią *Seckersdorf*, Kęty *Liebenwerde*, Żywiec *Saybusch*, Wadowice *Frauendorf*, Oświęcim *Auschwitz*, Komorowice *Batzdorf*, Łodygowice *Ludwigsdorf*, Pietrzykowice *Petersdorf*, Starą Wieś *Altdorf*, Nową Wieś *Neudorf*, Pisarzowice *Schreiberdorf*, Frydrychowice *Friedrichsdorf*, Andrychów *Andrichau*, Hałcnów *Alzen*, Lipnik *Kunzendorf* i Wilamowice *Wilhelmsaa*.

Wilamowice wykazujące wprawdzie 1157 dusz ludności niemieckiej wyłączyłem z bialskiego skupienia niemieckiego. Ci bowiem koloniści lubo między sobą używają własnej zepsutej gwary niemieckiej, którą zowią *wymysörisch*, są zupełnie innego pokroju, niż ich sąsiedzi niemieccy. Z dawien dawna są oni dobrymi obywatelami kraju, wszyscy mówią dobrze i chętnie po polsku. Z nich wyszło nie mało księży, urzędników, kupców i rzemieślników będących dobrymi Polakami. Wszystkie nasze Danki, Foxy, Nikiele, Miki z przyczepką końcówki ski lub bez niej, pochodzą z Wilamowic. Dopiero w nowszych czasach zaczęła się w młodszej szczególnie generacyi budzić świadomość niemiecka, dzięki naszym władzom rządowym i autonomicznym, które osadziły w Biały dwóch naszych wrogów Kurykowskiego i Pelikana, pierwszego jako c. k. starostę, drugiego zaś jako okręgowego inspektora szkolnego.

Rządy Kurykowskiego tkwią żywo jeszcze w pamięci, dlatego nie będę wnikał w ich szczegóły. Przypomnę tylko o inspektorze Pelikanie, iż on był tym, który bez żądania gminy, na własną rękę zaprowadził, albo raczej narzucił szkole wilamowickiej niemieckie wykłady. On też położył kamień węgielny pod budzącą się tam obecnie niemczyznę.

Zwiedzałem kresy bialskie zaczynając od Wilamowic, których mieszkańcy słyną w całej okolicy nie tylko z pracowitości, oświaty i dobrobytu, lecz także z wesołych historyjek, jakie o nich sąsiedzi opowiadają wokoło. Dziwna to właściwość. Gdy mi przyszło w piękny dzień jesienny odbyć pieszo drogę kilkumetrową z Jawiszowic do Wilamowic i gdy zasięgałem u przechodniów języka o tem i o owem, rzekł jeden z nich uśmiechając się:

— To Pan idzie do przesławnych Wilamowic, gdzie księżyc łowią w studni, a u sowy szukają szyji? — Potem opowiadał mi dalej o Wilamowiczanach:

— U nich w rynku środek ziemi, a gdy swój ratusz budowali, musieli przesuwać go na grochu, bo stał na niewłaściwem miejscu. Z kościołem było jeszcze większe utrapienie. Dla oszczędności zbudowali go bez okien. Lecz w ciemnicy niepodobna było odprawiać służby bożej, więc jęli łowić na dworze światło słoneczne w wory i znosić je do wnętrza kościoła. Ale pożytku z tego nie było, więc drugi mądrala radzi posłać po światło do Oświęcimia, gdzie w kościele panowała jasność. Jużci że i to na nic się nie zdało. Wkońcu nie było innej rady, trzeba było wybić okna, co im daleko większe sprawiło wydatki. Albo też przeprawy ich z kotem-ludożercą i rakiem-krawcem, którego radni potym skazali na śmierć i utopili. Mój Boże, wszystkich tych pocieszności nie spisałby człek na wołowej skórze.

Taki sam sposób dowcipkowania sąsiadów, jednych z drugich, istnieje na Pomorzu i u Meklemburgii. Wskazywałoby to może na ich pochodzenie, o którym nie przechowało się nic pewnego, z tych ziem [1]).

Stoję u celu wycieczki. Typ miejscowości nader oryginalny. Odrębny światek. Stare domy drewniane z ganeczkami u przodu, stylowe, kryją się w cieniu sadów Główna ulica wije się dość długo. Cisza, wśród której słychać pobrzęk muchy. Sielanka jakoby na starem uroczysku. Wszystko tu inne jak w okolicy: rozkład miejscowości, która posiada wyraźną formę tak zwanego „kręglaka" słowiańskiego z jednem pierwotnie wejściem, domy, gospodarstwa, ludzie i strój, wszystko odmienne i wielce znamienne. Mężczyźni poubierani czarno. Starsi noszą sukienne kapoty, z pod których wyzierają kamiz le z dwoma rzędami guzików. Spodnie w buty wpuszczone. Ubiór niewiast o wiele oryginalniejszy. Spódnice sięgające kostek, bardzo odstające, barwy czerwonej w prążki, dołem obszyte złocistą tasiemką, z przodu zaś przysłonięte fartuszkami białemi, czarno kropkowanemi. Na głowach osobliwe czepce, staniki barwne, złotem wyszyte. Z powodu święta ubrane dziś uroczyście. Niektóre zarzuciły na siebie „*tychty*", wielkie białe chusty. W dni powszednie noszą chustki czerwono kraciaste. Biała barwa u Wilamowiczan oznacza żałobę.

Gdyby nie napis na tablicy: „Miasteczko Wilamowice" nikomu nie przyszłoby, wśród ciszy sielankowej, zalegającej drzemiącą w cieniu drzew główną ulicę, coś podobnego na myśl. Miejskość ujawnia się dopiero na rynku, przedstawiającym podłużny czworobok, okolony przeważnie jednopiętrowymi domami. Ratusz, szkoła bardzo porządnie wyglądająca, krajowa szkoła tkacka, propinacya, posterunek żandarmeryi, poczta, apteka, sklep korzenny Nikla i jeszcze kilka domów prywatnych, między tymi jeden w stylu secesyjnym, uderzający wzrok nadzwyczajną patrokacizną. W sklepie Nikla można się posilić i zamieszkać jak w gospodzie. Zabieram znajomość z p. Niklem. Drzwi sklepu wciąż w ruchu. Wchodzą przeważnie ludzie młodzi, poubierani z miejska, kupują rozmaite drobnostki lub piją „lampki" wina. Rozmawiają żywo i wesoło miejscową swoją gwarą, jak zwyczajnie *Wymyseyer Łojt* (Wilamowiczanie) między sobą. Jawią się także białogłowy w stroju narodowym z rogatym czepcem na głowie.

Pan Nikiel objaśnia mnie:

— Nasi między sobą mówią *wymysorisch*, lecz wszyscy umieją dobrze po polsku. Dawniej wszyscy czuli się Polakami. Teraz, od kiedy pan Pelikan z Biały, nasz inspektor szkolny, zaprowadził w naszej szkole język niemiecki i nawiedzać nas zaczęli rozmaici obcy panowie Niemcy, niektórym z młodszych zdaje się, iż są Niemcami.

Przechodzi rozmowa na strój miejscowy.

— Rogate czepce — mówi — przekryte chusteczkami noszą tylko mężatki, dziewczęta chodzą z odkrytą głową splatając włosy w warkocz, spadający na plecy. Mężatki u nas przywdziewają na raz po 10 i 12 czepców, jeden na drugi, a także po kilka spodnic, żeby piękniej odstawały. Im która zamożniejsza, tem więcej ma na sobie spodnic i czepców.

Zabieram znajomość w przylegającym do stołu „pokoju jadalnym" z dwoma starszymi gospodarzami miejscowymi panem Foxem i Dankiem. Pytają się mnie, jak mi się podoba ich miasteczko. Chwalę je. Powiadam, iż wszystko, co tu widzę, zajmuje mnie swoją osobliwością.

— My też — powiada p. Fox — jesteśmy osobliwym narodkiem i mamy swój odrębny język, lecz używamy go tylko wyłącznie między sobą, gdyż ogólnym naszym językiem jest polski, w gminie, kościele i w części w szkole, gdzie dawniej wykładano tylko po polsku.

Zapytałem się go jakim sposobem zapisało się przy ostatnim spisie ludności przeszło jedenaście set Wilamowiczan jako Niemców.

— Mój Boże — podjął p. Danek — jest to po prostu dzieło agitatorów z Hałcnowa, Lipnika i Biały. My starsi idziemy ręka w rękę z krajem, czujemy się polskimi krajowcami, a po niemiecku zgoła nie umiemy. Między młodszymi tylko, którzy, gdy nastał nowy porządek w naszej szkole, poduczyli się języka niemieckiego, zaczynają niektórzy krewić i mącić u nas zgodę.

Potem dodał chmurząc czoło:

— Niech nas Bóg broni, żeby u nas miało powstać takie piekło, jak w Hałcnowie lub Lipniku.

— U nas — opowiadał mi znowu p. Fox — Foxy i Dankowie tworzą prawie trzecią część ludności. Sporo jest też: Nikielów, Rosnerów, Biesów, Figwerów, Nowaków, Haków, Bibów, z których pochodzi arcybiskup lwowski Bilczewski. Dwóch jego braci Bibów mieszka w Wilamowicach, jeden z nich trudni się stolarstwem.

Na przemian zabrał głos p. Fox:

— U nas jest tak, że, jeśliby Pan naprzykład pisał do mnie list adresując: Pan *Jaśki* — tak mi na imię — Fox w Wilamowicach albo do mego sąsiada: Pan *Moca* (Maciej) Danek, list nie doszedł by ani mnie ani sąsiada, bo u nas Jaśków Foxów i Moców Danków jest po kilkunastu, a listowy skądżeby mógł wiedzieć któremu z nich list należy. Trzeba koniecznie dodać albo numer domu albo przezwisko, nasze wilamowickie — dodał — U nas każdy ma swoje imię, nazwisko i przezwisko. Ja zowię się *Jaśki*, Fox *Botełmąc*, sąsiad mój *Moca* Danek *Dofickiego*, inni posiadają przezwiska: *Paziamychał*, *Mietujaszajaski*, *Kamerjaula*, *Kycuś*, *Prorok*, *Merlic*, *Halafrana*, *Mietlik*, *Gembuk*, *Ficki*, *Niedziela* i t. d.

— Kto nadaje nazwiska? — zapytałem się.

— Same biorą się jakoś z siebie — brzmiała odpowiedź.

Słyszę z przyległego alkierza odgłos pieśni ludowej w miejscowej gwarze. Podchodzę bliżej i piszę słowa pieśni z dokładną fonetyką.

An cwa drużkyn ana Braut;
An cwe Hoetla grynes kraut.
Makia wylst an Frajmon hon?
Gey y kraczem koust a hon.

Pan *Jaśki* Fox *Botełmąc* tłumaczy mi powyższe słowa na język polski: Dwie drużki i panna młoda i dwie głowy kapusty zielonej. Chcesz dziewczyno mieć umizgacza? Idź do karczmy, możesz go dostać".

Pytam się czy w Hałcnowie mówią te samem narzeczem

— Jest różnica — odpowiada p. *Moca* Danek *Dofickiego* — oni śpiewają tak:

„Wolt schou assa, hot ny wyjt,
Hot n'en Łofet ohnan Styjt

Znaczy to: „Chcecie już jeść, niema wiele, ma on łyżkę bez rękojeści". Poczem dodał:

— Lepiej od nas nie mówią po niemiecku, ale nadymają się jak żaby wszechniemieckie.

Zwiedziłem ratusz, gdzie się mieści archiwum gminne, składające się z kilku starych kronik i ksiąg zapiskowych miejskich Wszystko pisane po polsku.

[1]) Takie same dykteryjki opowiadają żydzi w Królestwie Polskiem o swoich współwyznawcach z Chełma. Przypominamy też dykteryjki o Pacanowie, Osieku i t. d. Przyp. red. „Straży Pol."

Dokumenty sięgają tylko XVII. wieku. Starsze spaliły się. W księdze miejskiej rozmaite zapiski majątkowe. „Anno Domini 1690 stał się kup między dwoma osobami...“. Inne pismo obwieszcza: „Ja Andrzej Biba czynię rozporządzenie między mną y pozostałą małżonką y dziatkami memi...“ i t. d. i t. d.

„Anno Domini 1808“ — zapisano w księdze miejskiej — „wykupiliśmy się z Boga Najwyższego woli za uchwaleniem całey Gromady z poddaństwa dnia ostatniego kwietnia R. P. 1808 za summę Reńskich 30000 zapłaconych w Krakowie na ręce Wielm. Panny Solomey de Grodzickich Barskiey przy obecności Wielm. Małżonka Bonawentury de Bary Barskiego“. Wójtem był wtedy Józef Fox. Przed Barskimi były Wilamowice własnością Szembeków. W rok po wykupieniu się z pańszczyzny, awansowała wieś na miasteczko. W księgach miejskich zapisane najdawniejsze nazwiska: Danek, Damek, Hanik, Biba, Nowak, Mika, Bies, Biesik, Gandor, Merta, Krysta, Kaleta, Nycz, Hankusz, Hadasik, Zejma i t. d. nie posiadają wcale znamion niemieckich.

O założeniu Wilamowic i o pochodzeniu ich mieszkańców niema nic pewnego. Podania o tem różnią się między sobą.

Jakże inaczej w Hałcnowie. Tu wszystko po niemiecku: w gminie, szkole, kościele, na ulicy, w gospodzie — nigdzie słowa polskiego nie słychać i nie widać na żadnym napisie. W Lipniku bliższym Białej jeszcze gorzej.

Kolonie „Jozefińskie“ powstały w czasie 1781—1789. Cesarz Józef drugi przedsięwziął niemiecką kolonizacyę w Galicyi z wyraźną dążnością germanizacyjną po ogłoszeniu tak zwanego „patentu tolerancyjnego“ i wydaniu drugiego patentu zawierającego korzyści rozmaite dla osiedleńców.

Zaraz po pierwszym rozbiorze Polski poczęli Niemcy zapuszczać na zabrane ziemie polskie swe zagony. Znaczna kawalkata niemieckich kupców i rzemieślników, nęcona żerem zysku i zarobku najechała Galicyę osiedlając się po miastach: we Lwowie, Brodach, Samborze, Zamościu, Jarosławiu, Busku i t. d. Do tego przybyła cała smycza urzędników mająca ją organizować i biorąca ją w zarząd. Gdy wyszedł w r. 1774 patent cesarski dopuszczający protestantów do mieszczaństwa we Lwowie, Jarosławiu, Brodach, Zamościu i w Zaleszczykach, liczba przybyszów niemieckich znacznie się jeszcze zwiększyła.

Dla przeprowadzenia kolonizacyi wydał Józef II. „listy cesarskie“ zapraszające Niemców do osiedlania się w Galicyi i równocześnie udali się z jego rozkazu wysłannicy do rozmaitych ziem niemieckich dla ściągania obietnicami i namową osadników, przeznaczając dla nich zabrane dobra królewskie, bardzo rozległe. Zarządy tych dóbr tak zwane „kameralne“ puściły w obieg równocześnie z swej strony osobne proklamacye i zaproszenia do osiedlania się na tych dobrach, z wyliczeniem korzyści ofiarowanych kolonistom. Dawano im za darmo drzewo budowlane, cegłę zaś i wapno po bajecznie nizkiej cenie z sześcioletnim terminem wypłaty, do tego 1600 sążni kwadratowych ogrodu z uwolnieniem sześcioletniem od wszelkiej opłaty, nadto otrzymywał każdy po 50 guldenów w gotówce na rękę bezzwrotnie, a każdy chłop z rodziną dostawał jeszcze za darmo dom z stajnią i przyborami rolniczemi z 40 morgami (morg po 150 prętów) roli, łąk i pastwiska na własność dziedziczną z dziesięcioletniem uwolnieniem od wszelkich podatków i czynszów, z obowiązkiem tylko bardzo miernej pańszczyzny, zamiast której wyznaczono okup w pieniądzach lub w ziarnie.

Przy tak nęcących warunkach [1]) zgłaszało się wielu chłopów niemieckich, mianowicie z ziem nadreńskich i szwabskich, którzy po największej części przybywali okrętami na Dunaju z Ulm, Lavengen i Donaueschingen do Wiednia, skąd ich wysyłano do Galicyi.

Podług Bredetzky'ego [2]) którego uważać należy za źródło najlepsze, jako stykającego się bezpośrednio z kolonistami ewangelickimi w charakterze swoim superintendenta i utrzymującego z nimi ciągłe stosunki, pochodzą koloniści galicyjscy główenie z nad Renu z okolic najróżnorodniejszych a tylko nie wielka ich część z wartemberskiego księztwa Geldern. Podług tego samego źródła wydał cesarz Józef II. na kolonizacyę galicyjskę więcej niż 3 miliony guldenów, co na owe czasy przedstawia wysoką sumę.

[1]) I. Rohrer: Slavische Bewohner der oester. Monarchie. Wien 1809.

[2]) Histor.-statist. Beytrag z. deutschen Colonial-Wesen. Berno 1812.

Co do liczby osiedlonych wówczas Niemców w Galicyi różnią się nieco źródła pomiędzy sobą. Rohrer podaje tę liczbę na „dokładnie“ 19369 głów, podczas gdy Bredetzky mówi o 3000 rodzin i około 18.000 dusz, zaś dr. German [1]) podług źródeł urzędowych na 3500 rodzin z dodatkiem, iż zwyczajnie tworzono osadę z 12—20 rodzin, chociaż osadzano też znacznie więcej rodzin w jednej miejscowości.

Liczbę „wsi rozsadniczych“ niemieckich jak się wyraża Rohrer t. j. kolonii Józefińskich w Galicyi, podaje tenże 120, Bredetzky zaś 175, wyliczając wszystkie po nazwie z wyszczególnieniem liczby domów i rodzin niemieckich kolonistów wraz z ilością dusz. Różnica co do liczby kolonii pochodzi stąd, iż pierwszy wylicza tylko czysto niemieckie osady, drugi spisuje wszystkie: czysto niemieckie i mieszane, przyczem dodać należy, iż cesarz kazał Niemców osiedlać także po wsiach ruskich i polskich, w każdej takiej wsi nigdzie mniej jak po 6 rodzin.

W latach 1783 i 1784 był napływ kolonistów niemieckich ogromny. Miano bardzo wielkie trudności i kłopoty z rozmieszczeniem.

Temple [2]) pisze uzupełniająco: „Osiedlenie przedsiębrano na wszystkich dobrach „kameralnych“ (królewszczyznach“), następnie na dobrach kościelnych i pojezuickich, jako też na prywatnych. Galicyjskie stany wezwano do tego osobno“.

Podług Bredetzkyego powstały pierwsze kolonie w Galicyi zachodniej, mianowicie w okolicy Starego i Nowego Sącza. Później powstały niemieckie osady, niezbyt liczne w dawniejszych obwodach („cyrkułach“): bocheńskim, rzeszowskim i tarnowskim. W Galicyi wschodniej silnie skolonizowano obwód lwowski i stryjski, tworząc nadto sporą liczbę osad niemieckich w obwodzie sanockim, samborskim, przemyskim i żółkiewskim.

Między koloniami rozróżnia Brodetzky 83 ewangelickich, 60 katolickich, 16 reformowanych i 16 mieszanych (ewangelicko-katolickich).

Znajdowało się wśród kolonistów 30 rodzin menonickich, którzy w dzisiejszem starostwie lwowskiem założyli osadę *Einsiedel* niedaleko Szczerca. Równie ks. Czartoryski założył w Głodowy, Galicyi zachodniej, w małą osadę menonicką. Do największych czysto niemieckich kolonii zaliczają się: Brigidau 3126, Josefsberg 390, Dornfeld 389, Kaisersdorf 380, Ramschau 348, Hartfeld 345, Landestreu i Ugartsthal po 40, Gelsendorf i Falkenberg po 30 domów.

Wszystkie te kolonie istnieją do dziś dnia. Ludność ich zwiększyła się znacznie.

Bredetzky, który objeżdżał kolonie, opisuje stan ich w nowosądeczczyźnie i w bocheńskiem jako kwitnący. Nadto kolonie: Ugartsthal, Ugartsberg, Landestreu i Gelsendorf są bogate. Niemcy w Galicyi rozwijają się bardzo dobrze. Młodsza generacya silniejsza i piękniejsza, niż jej rodzice przybyli z Niemiec, którzy byli nizkiego wzrostu, niekształtnego ciała, a w twarzy brzydcy. Inne kolonie uboższe, nie brak też ubogich. Uskarża się, iż wielu kolonistów niemieckich oddaje się pijaństwu.

(C. d. n.) *G. Smólski.*

[1]) Oester. ungarische Monarchie in Wort u. Bild. Galizien. Wien.

[2]) D. deutschen Colonien in Galizien. Mittheilungen der k. k. Geographischen Gesellschaft, Wien 1860.

Odniemczenie naszych szkół ludowych.

I.

Stary jestem, ale nie chcę zrzędzić; stargałem siły w służbie publicznej, ale nie stargałem nadziei nawet tam, gdzie dla innych wyglądało całkiem beznadziejnie. A że posiwiałem pośród młodszych i starszych dzieci, więc powiem krótko i poprostu, co myślę o reformie naszych szkół ludowych. Wprawdzic *vana sine viribus verba*, ale może przecież słowa moje trafią do młodszych, silnych, a chcących i mogących słowo w czyn zamienić.

Krajowa Rada szkolna układając pytania (kwestyonaryusz) dla ankiet szkolnych, pominęła kwestyę unarodowienia szkoły najzupełniejszem milczeniem. Zrobiono jej z tego zarzut i słusznie, bo wygląda to tak, jak gdyby tej kwestyi **nie należało** poruszać, jakby poruszenia jej należało się **obawiać**... Tymczasem potrzeba unarodowienia szkoły nie jest takim strasznym dyabłem, ani nie jest jakąś specyficznie **naszą polską** kwestyą. Dawno przedtem, niż u nas, powstała ona w Niemczech, we Francyi, a bliżej nas na Węgrzech i w Czechach. Jeno, że my bardzo późno dowiadujemy się o tem, co się dzieje gdzieindziej, a tak już jesteśmy wystraszeni, że moglibyśmy się bać nawet odkrycia Kopernika, gdyby miano dopiero teraz zacząć o nim uczyć w naszych szkołach.

Unarodowienie szkoły, to nie jest bynajmniej jakieś robienie **polityki** w szkole. To tylko przez nowoczesną **pedagogię**, po długich doświadczeniach i wielu trudach, zdobyte **wymaganie pedagogiczne**, żeby nauka szkolna, a zwłaszcza **nauka początkowa w szkołach ludowych opierała się o rodzime pierwiastki**, bo inaczej z nauki tej niema dla narodu, **jako narodu**, pożądanego pożytku. Oto cała herezya, którą już lat temu czterdzieści z górą wypowiedziała sama kraj. Rada szkolna słowami swojej odezwy, skierowanej do społeczeństwa: „**Jeżeli oświata jest potęgą, to tylko wtedy, gdy z pnia narodowego wyrasta**“.

Niemcy, te Niemcy, na których Austrya we wszystkiem tak chętnie się wzoruje, te Niemcy, które są tak narodowo jednolite i silne, podnoszą dziś krzyk, że szkoła ich nie jest narodową i całe tomy piszą o tej kwestyi.

Więc nie było i niema się czego bać, a gdyby kraj. Rada szkolna nie pominęła tej kwestyi, to możnaby było pod jej kierunkiem i za współudziałem najkompetentniejszych czynników osiągnąć tę właśnie nieocenioną korzyść, że musiałoby się raz przecie przyjść do jasnego pojęcia o tem: co to jest postulat unarodowienia szkoły; że to ani polityka, ani warcholstwo, **jeno postulat czysto pedagogiczny**. Uniknęłoby się było przez to na przyszłość wielu szkód, wiele straty czasu i przecięło właśnie drogę wszelkiemu warcholstwu i mąceniu pojęć, a Rada szkolna byłaby zaskarbiła sobie wielką zasługę.

Ale stało się i niema w tem znowu nic tak nieodbycie złego, bo tu *Roma locuta, causa non finita*... Unarodowienie szkoły staje się już dziś postulatem międzynarodowym, bo każdy naród pragnie mieć **swoją** szkołę. To wielki prąd czasu. Nie zatamuje go żadne milczenie, nie wstrzyma żadna niełaska, nie złamie żaden system... Ono staje się ciałem, dojrzewa, potężnieje, nawet u nas, gdzie tylu ma jeszcze przeciw sobie niechętnych i bojaźliwych...

Nie tyle mu trzeba może ogólnych dyskusyj, co cichej, wytrwałej roboty. A nauczycielstwo nasze rozumie swoje posłannictwo i nie próżnuje... Więc i przejście nad tą kwestyą do porządku przez kraj. Radę szkolną nie wiele zaszkodzi.

Ale jest druga kwestya, bez której tamta jest jak ryba bez wody, a ptak bez powietrza; o którą wszelkie usiłowania i cała praca nad unarodowieniem szkoły rozbijają się i rozbijać będą beznadziejnie. Rzecz zasmucająca, że i ją chciała kraj. Rada szkolna zamilczeć w ankiecie, a pocieszająca, że ankieta na to nie pozwoliła.

Ta druga kwestya, to **kwestya nauki języka niemieckiego** w szkołach ludowych. — Jak nasze nauczycielstwo ludowe, tak i ta pierwsza ankieta, chociaż nie pytana o to, oświadczyła się zaraz **przeciw nauce języka niemieckiego w szkole ludowej**, bo większość jej zrozumiała dobrze, że to pierwszy i najkardynalniejszy warunek unarodowienia naszych szkół i że wprzód, nim je będzie można unarodowić, trzeba je koniecznie **odniemczyć**. To rzecz taka prosta i taka niewątpliwa, że przekonywać o tem zdawałoby się tak samo zbytecznem, jak przekonywać o tem, że niemowląt nie można żywić befsztekami. Ale gdy w ankiecie miały być też głosy, że szkoła ludowa nie tylko nie może się obejść bez nauki tego języka, ale potrzebuje jej jeszcze w większym stopniu, to snać trzeba jeszcze ciągle przekonywać (może nawet pedagogów?...) o tem, że tak nie jest. Dlatego spróbuję to uczynić po prostu, zwięźle.

Nieszczęściem prawdziwem naszych szkół wogóle (ludowych i średnich) jest przeładowanie naukami języków. W czterech pierwszych latach (szkoły ludowe) uczymy trzech języków, a w dalszych (szkoły średnie) dwu języków starożytnych, więc razem pięciu, a często z językiem nadobowiązkowym (francuskim lub angielskim) sześciu języków! Nazywam to nieszczęściem nietylko dlatego, że po dwunastu latach nauki uczeń żadnego z tych języków porządnie nie umie, ale dlatego, że obracając wszystkie siły na tę naukę lingwistyczną, wychodzi ze szkoły w innych przedmiotach zaniedbany, a wsku-

tek tego zniechęcony, nie rzadko złamany. Mam to głębokie przekonanie, że tej prawdziwej manii lingwistycznej zawdzięczamy całe niedołęstwo, całą niedokrewność i nieporadność młodego pokolenia.

Ale w nieszczęściu tem największem nieszczęściem jest dla nas z pewnością nauka języka niemieckiego już w szkole ludowej udzielana, tak, jak ją tam udzielamy i jak ją udzielać możemy.

Dwie są tylko metody uczenia obcych języków. Metoda praktyczna (czyli konwersacyjna) i gramatyczna. Kto chce uczyć języka jakąś metodą pośrednią, ten niczego nie nauczy, jeno bałamuci sam siebie i uczniów. Otóż taką metodą niby pośrednią, jest sposób uczenia języka niemieckiego w naszych szkołach ludowych. Niby gramatyki się unika, ukrywa ją przed uczniem, ale ona wyłazi, jak szydło z worka, na każdej stronie podręcznika szkolnego i powoduje, że ten sam uczeń, który bez błędu odmienia *der Vater*, pozdrowi ojca słowami: *Gut Morgen dem Vater!* Jest to po prostu zamaskowana metoda gramatyczna, która i po 20 latach nauki nie może dać żadnej praktycznej wprawy i której dorobek musi uczeń stracić zupełnie z pamięci już po jakim roku. Więc zmieńmy metodę! Oto sęk, że jej zmienić nie możemy. O zastosowaniu metody czysto gramatycznej u dzieci, które jeszcze swego rodzinnego języka nietylko gramatycznie, ale nawet praktycznie nie umieją, niema i mowy. Zresztą cała pedagogia jest już dziś w tem zgodna, że nie masz większego absurdu, jak chcieć dzieci uczyć języka metodą gramatyczną. Szkolnictwo austryackie zbiera z tego najpiękniejsze owoce i będzie chyba kiedyś przykładem odstraszającym dla całego świata.

Więc chwyćmy się metody czysto praktycznej t. j. konwersacyjnej. Ale to najzupełniej w szkole niewykonalne. Metodą praktyczną może uczyć tylko nauczyciel, który włada językiem obcym tak, jak swoim własnym. Takich nauczycieli ludowych nie wiem czy mamy 2%, a i co do szkół średnich nie pomylę się, gdy powiem, że niema ich ani 10%.

Co innego bowiem umieć język teoretycznie t. j. umieć się w nim poprawnie wysłowić i poprawnie pisać, a co innego mieć w nim taką łatwość mówienia jak we własnym; tu trzeba koniecznie mieć zupełnie praktyczne władanie językiem, a co równie ważne cudzoziemski akcent i sposób mówienia. Tego nie da żaden egzamin seminaryalny, ani nawet kilkuletni pobyt za granicą. Ale gdybyśmy nawet takich nauczycieli mieć mogli, to i oni w przepełnionych naszych szkołach także nie wieleby dokazali, bo do zastosowania metody konwersacyjnej trzeba ciągłej konwersacyi z poszczególnym uczniem (nie z 50-ma lub 60-ma!), na co w szkołach naszych wogóle niema miejsca.

A więc zmiana metody nic tu nie poradzi — a rezultatów jak niema z tej nauki żadnych, tak i żadnych nie będzie, bo być nie może.

Przeważna masa uczniów, to jest ci, którzy nie przechodzą do szkół średnich, po upływie roku prawie że już zapomni czytać po niemiecku, a ci, co idą do szkoły średniej, przynoszą tam pierwociny tego języka tak mizerne i wypaczone, że zamiast pomocą, są one jego zawadą i utrudnieniem w dalszej nauce. — Jak trudne bowiem, a najczęściej niewykonalne, jest wykorzenienie błędów nabytych przez ucznia w początkach nauki języków, to może ocenić tylko doświadczony pedagog na polu lingwistyki.

Twierdzić tedy, że z nauki języka niemieckiego w szkole ludowej mamy jakąkolwiek korzyść, jak n. p. dla służby wojskowej, dla dalszej nauki w szkołach średnich, dla życia praktycznego, — może chyba ktoś, kto żyje z zamkniętemi oczami i zatkanemi uszami, albo kto ma w tem interes, lub obowiązek, żeby drugich okłamywać.

Nauczycielstwo ludowe z pewnością nie chciałoby się zrzec nauczania tego przedmiotu, gdyby nie nakazywał mu tego obowiązek sumienia, zgodny tu zupełnie z obowiązkiem narodowym i pedagogicznym. Rozważyło ono dobrze, co czyni, nim oświadczyło się za zniesieniem nauki tego języka w szkole ludowej, a głos jego zapisze kiedyś historya pedagogii polskiej z pewnością złotemi zgłoskami.

Bo nauka ta niedosyć, że jest bezowocną dla szkoły i dla życia, ale zarazem jest pedagogicznie zgubną. — Tak samo zgubną byłaby pedagogicznie nauka jakiegokolwiek innego języka obcego, n. p. francuskiego, lub choćby czeskiego, zaczynana już w szkole ludowej, jako nauka trzeciego języka.

Nauka języka niemieckiego w każdej szkole ludowej, której językiem wykładowym nie jest język niemiecki, a więc tak dobrze w szkole słowiańskiej, jak np. we francuskiej, lub włoskiej, byłaby ze stanowiska pedagogicznego czemś wprost potwornem.

Gdyby sprawa ta nie należała wyłącznie do kompetencyi Sejmu i kraj. Rady szkolnej, byłby każdy nie-niemiecki naród w Austryi w prawie podnieść przeciw temu jeden wielki krzyk protestu, jako przeciw zamachowi na zdrowie swoich dzieci i na podstawy ich duchowego rozwoju, a nawet c. k. austryackie Ministerstwo oświaty musiałoby protest taki uznać za słuszny i zakazać tej nauki, jeżeliby oczywiście było prawdziwem ministerstwem oświaty.

Już samo uczenie czegoś, co dla ⅔ młodzieży jest straconym trudem i do czego nauczania niema się odpowiednich sił nauczycielskich, jest pedagogicznie potwornem, a społecznie grzechem nie do darowania. Cóż dopiero, gdy taka bezowocna nauka języka obcego zabija wprost naukę tego, co jest głównem zadaniem szkoły ludowej, gdy zabija naukę języka rodzinnego, na której powinna się pedagogicznie oprzeć cała początkowa nauka szkoły ludowej pod zagrożeniem, że inaczej będzie narodowo zmarnowaną. Dziecko, wstępujące do szkoły ludowej jest analfabetą w swoim języku rodzinnym, a język polski, nawet jako rodzinny, jest w nauce bardzo trudny. Stąd zjawisko, że po dwunastu latach nauki nie umie go nawet — maturzysta! Każdy wytrawny nauczyciel ludowy wie o tem, że lata nauki w szkole ludowej nie wystarczają nawet na to, żeby na podstawie języka rodzinnego dać dziecku to, czego wymaga cel szkoły ludowej. Język niemiecki ma to do siebie, że jest dla nas, Polaków, mimo naszych zdolności lingwistycznych, podobnie jak dla narodów romańskich, najtrudniejszym. Trudność ta płynie nietylko z odrębności alfabetu (drukowanego i pisanego) i pisowni, ale głównie z tego, co nazywamy charakterem (duchem) języka. Jak dusza i charakter Niemca są całkiem inne niż Słowianina, tak też ich języki. Dlatego to z chwilą, gdy w szkole ludowej występuje język niemiecki, (od klasy 3-ciej) odrazu upada nauka wszystkich innych przedmiotów, a najbardziej nauka języka rodzinnego. Uważny nauczyciel spostrzega od tej chwili cały szereg zjawisk, dowodzących niezbicie, że nauka tego języka jeżeli nie zabija, to przynajmniej psuje wszystko inne. — Najsmutniejsze zaś bezsprzecznie z tych zjawisk jest to, że uczniowie, którzy rozwijali się umysłowo najpiękniej, nabierali do nauki zamiłowania i okazywali dla niej żywy interes, cofają się raptem, obracając całą swą pracę na język niemiecki i traktując odtąd naukę, jako nudny i ciężki obowiązek.

Możnaby o tem pisać tomowe rozprawy, jak bardzo umysł naszego dziecka cierpi na tej jałowej i bezskutecznej nauce.

Ale rozpraw takich już dziś chyba nie potrzeba, kiedy nietylko samo nauczycielstwo ludowe, ale i ankieta szkolna oświadczyła się za zniesieniem tej nauki w szkole ludowej. Nie potrzeba tem bardziej, że z tym głosem nauczycielstwa i ankiety zgadza się bezsprzecznie większość naszego społeczeństwa, bo nikt chyba nie doświadcza lepiej praktycznej bezwartości, a pedagogicznej zgubności tej nauki, jak właśnie społeczeństwo.

Dziś więc idzie już o co innego. Idzie po prostu o złamanie uporu krajowej Rady szkolnej i o przekonanie Sejmu, że stanowisko odporne Rady jest szkodliwe dla nas pod względem pedagogicznym

Nauczycielstwo i ankieta dały impuls, reszty dokonać winni posłowie i społeczeństwo samo, a przedewszystkiem prasa.

Gdyby na polu praktycznego życia wolno mieć marzenia, to jakżebym pragnął, żeby rok Słowackiego wyzwolił naszą szkołę ludową od tego pasorzyta, podgryzającego młodziuchne pędy naszego życia i koszlawiącego nasz przepiękny język Słowackich i Mickiewiczów.

Choć stary, wierzę głęboko, że to się stać musi prędzej, czy później, bo to nie chimera, nie zapaleństwo, ale wymaganie rozumu, konieczność pedagogiczna, praktyczny postulat narodowy. Bez tego, owszem chimerą tylko będzie postulat unarodowienia szkoły ludowej, bo chcąc ją unarodowić, trzeba ją wprzód odniemczyć.

Muszę się jednak zastrzedz, jakobym chciał przez to powiedzieć, że nauka niemieckiego języka jest dla nas niepotrzebną. Przeciwnie — jest potrzebną bardzo, ale nie w szkole ludowej i nie taka, jaką mamy tak w szkole ludowej, jak w średniej.

Nam nie potrzeba, żeby ze szkoły średniej wychodzili znawcy literatury niemieckiej (nie umiejący napisać listu po niemiecku), ale żeby wychodzili młodzieńcy, umiejący łatwo i dobrze mówić i pisać potocznym językiem niemieckim.

Wiem, że panowie z Rady, broniący niemczyzny w szkole ludowej, a znajdujący dziś poparcie w zaślepionych na własną szkodę nienawiścią Rusinach, wysuną jako najważniejszy argument przeciw temu: trudność praktycznego wykonania. Ale pomijając to, że takich trudności niema — jak to wykazał niedawno dyrektor dr. Tomaszewski — to gdyby nawet i były, właśnie Rada szkolna jest na to, żeby je pokonać

Jeżeli zaś sama tego zrobić nie umie, to niechaj zapyta o to ankietę, która oświadczywszy się już przeciw nauce języka niemieckiego w szkole ludowej, nie poskąpi z pewnością trudu żeby wskazać, jak tę zasadę praktycznie przeprowadzić.

Z. z. *(Goniec).*

II.

Pod tytułem „błędna informacya" zamieszcza „Głos nauczycielstwa ludowego" (zeszyt 15-16 za sierpień) artykuł, który w skróceniu podajemy:

W październiku zeszłego roku, — pisze autor — wykazaliśmy, że obowiązkowa nauka języka niemieckiego w naszych szkołach ludowych nie opiera się na prawnej podstawie. Mimo to ani w Sejmie, ani w ankiecie, powołanej wskutek uchwały sejmowej, nie zwrócono na ten moment uwagi. Owszem nawet zanosi się na to, że zamiast unarodowienia szkoły, otrzymamy dalsze jej zgermanizowanie.

Ma to być „złe konieczne", którego odwrócić od naszej szkoły ludowej nie podobna. Filozofowie zaś powiedzieli, że skoro nie możemy złego uniknąć, to lepiej je uprzedzić; więc też panny dworskie — według relacyi i spektora szkolnego krajowego p Jahnera — które niegdyś czytywały dzieciom „Wieczory pod lipą", uczą je teraz języka niemieckiego. (Niech się zgłoszą po nagrodę do „Schulvereinu". Przyp red.). Tak samo — według słów p. Jahnera — dziać się ma na probostwach — prawdopodobnie ruskich. Może więc poseł Dudykiewicz pocieszyć się, bo te patryotyczne objawy zaznaczyć się powinny w najbliższej przyszłości zwiększeniem się procentu kaprali, rekrutujących się z ludności wiejskiej [1]). Co prawda — zaznaczyć się one także mogą spotęgowaniem powrotnej fali niedorostków, ciągnących z wiosną jakimś dziwnym, w znacznej ilości wypadków chorobliwym pędem na „Saksy", aby z powrotem przynieść do kraju zarodki moralnego i fizycznego upadku.

Są ludzie, którzy ubolewają nad obciążeniem małych dziatek językiem obcym, nad upośledzeniem języka ojczystego — wogóle nad zgubnymi skutkami tego stanu rzeczy; tkwią jednak w tem przekonaniu, że niema na to rady, bo stosunki społeczne i polityczne zmuszają nas składać ten przykry haracz niemczyźnie.

Oto n. p. w 3 zeszycie „Szkoły" z r. b. pojawił się artykuł Juliana Nowakowskiego na temat: „Nauka języka niemieckiego w szkołach ludowych". Autor w wymownych, z serca płynących słowach opisuje udręczenia, jakich doznają dzieci polskie i ruskie wskutek obowiązującej nauki języka niemieckiego — za które należałoby pociągnąć do surowej odpowiedzialności zarówno szkoły jak i rodziców, bo udręczenia te muszą ostatecznie wyrazić się w upośledzonym rozwoju tej dziatwy, tak pod względem umysłowym, jak i fizycznym.

Niestety jednak — sam autor, pojmuje mylnie § 75. zasadniczej ustawy szkolnej z r. 1869, w brzmieniu ustanowionem ustawą z dnia 2 maja 1883. (Dz. u. p. Nr. 53), tkwi w tem błędnem przekonaniu, że obowiązkowość języka niemieckiego w naszych szkołach ludowych jest złem nieuniknionem,

[1]) Poseł dr. Dudykiewicz, żalił się na ankiecie szkolnej, że „niesłychanie mały procent podoficerów rekrutuje się z ludności wiejskiej - i to lud odczuwa". Doszedł więc do konkluzyi, że „dwa typy szkół należy zbliżyć do siebie przez zaprowadzenie języka niemieckiego w szkołach wiejskich". - Byłby to skuteczniejszy środek, niż patryotyczna ofiarność „panien dworskich" i „na probostwach".

bo wypływa tylko z zastosowania § 75 powołanej powyżej ustawy państwowej, który to paragraf ma — według jego przekonania — dawać podstawę prawną do wprowadzenia języka niemieckiego jako obowiązującego w naszych szkołach ludowych.

Tą myślą opanowany pisze więc autor:

„Atoli § 75 powyższej ustawy państwowej zastrzega ustawodawstwu krajowemu niektórych krajów koronnych — między nimi i Galicyi — prawo odstąpienia od zasad, ustanowionych w § 3 (tyczy on się przedmiotów naukowych) tejże ustawy; stąd pochodzi, że postanowienia ustawy krajowej z d. 22 czerwca 1867, odnoszące się do nauki języka niemieckiego, otrzymały moc obowiązującą, mimo, iż ustawa państwowa późniejsza, bo z r. 1869, o nauce języka tego wcale nie wspomina“.

Tymczasem tak nie jest!

Oświadczamy stanowczo, że § 75 zasadniczej ustawy szkolnej, nie zastrzega ani Galicyi, ani żadnym innym krajom prawa odstąpienia od zasad, ustanowionych §§ 3. 4 i 6, a odnoszących się do przedmiotów naukowych w szkołach ludowych pospolitych — że przeto postanowienia ustawy krajowej z d. 22 czerwca 1867, dz. u. kr. Nr. 13, mianowicie Art. 3 tejże ustawy nie mogą mieć mocy obowiązującej w szkołach ludowych pospolitych. Wszakże powołana zasadnicza ustawa państwowa zawiera w § 78 wyraźne zastrzeżenie, iż „z chwilą wejścia w życie niniejszej ustawy tracą w odnośnym kraju moc obowiązującą wszelkie dotychczasowe ustawy, o ile sprzeciwiają się postanowieniom niniejszej ustawy, lub są przez nią zastąpione“.

P. Nowakowski czytał zasadniczą ustawę szkolną państwową z r. 1869, zmienioną częściowo przez ustawę państwową z d. 2 maja 1883, nieuważnie — i wziął *ustępy* za paragrafy.

Aby przekonać o tem czytelnika, przytaczamy z tejże ustawy § 75, na który się właśnie p. N. powołuje, w dosłownem brzmieniu, według dzieła K. Pierożyńskiego: „Ustawy i rozporządzenia w zakresie szkół ludowych“ — a mianowicie:

„§ 75. (W brzmieniu ustanowionem ustawą z dnia 2 maja 1883 dz. u. p. Nr. 53). Ze względu na odrębne stosunki królestw Dalmacyi, Galicyi i Lodomeryi z Wielkiem Księstwem Krakowskiem, księstwa Krainy i Bukowiny, margrabstwa Istryi, jakoteż uksiążęconego hrabstwa Gorycyi i Gradyski zastrzega się ustawodawstwu tych krajów prawo odstąpienia od zasad ustanowionych w u s t ę p a c h 1, 3, 4, 5 i 6 § 21 w ustępie 2 § 22, w §§ 28, 38, a ustawodawstwu królestwa Galicyi i Lodomeryi z Wielkiem Księstwem Krakowskiem także od zasad, ustanowionych w §§ 17, 18 i 19.

O § 1 tudzież o p a r a g r a f a c h 3, 4 i 6, które tyczą się przedmiotów naukowych w szkołach pospolitych, nema w powyższych zastrzeniach prawnych wcale mowy; więc nie wolno jest co do tych postanowień odstępować od zasad ustawy szkolnej państwowej z r. 1869 względnie noweli do tej ustawy z r. 1883.

Z powyższego przedstawienia rzeczy wynika, że obowiązkowa nauka języka niemieckiego w naszych szkołach ludowych pospolitych niema żadnej prawnej podstawy, czyli innemi słowy, że dziatwa nasza w szkołach początkowych obarczona i dręczona jest obowiązkową nauką języka niemieckiego całkiem bezprawnie.

Zasada, iż dziatwa szkół początkowych nie powinna być zniewalaną do uczenia się języka obcego, przyjęła się w pedagogii całego świata cywilizowanego i weszła tym sposobem do skarbnicy prawa międzynarodowego. Ci tedy, co ubożą tę skarbnicę, wyrządzają świadomie czy nieświadomie ciężką krzywdę własnemu narodowi i ludzkości.

Dwa tylko państwa, które zasady tej nie szanują, zniewalając małe dzieci do uczenia się obcego języka — są to Prusy i Rosya. Niestety — Galicya chce być koniecznie trzecią w tej sławnej kompanii!..

I aby dzieło ukoronować, dąży się obecnie do tego, aby obowiązkową nauką języka niemieckiego uszczęśliwić jak największą liczbę szkół wiejskich.

Czy do takich rezultatów ma nas doprowadzić hasło: „unarodowienia szkoły“?

Jedną ręką zbieramy ofiary na „Dar Grunwaldzki“ — drugą płacić chcemy „haracz pruski“...

„Pruski“ mówimy — bo ostatecznie ten haracz Prusomby tylko musiał wyjść na korzyść w przyszłości.

Śmiać się — czy płakać?!..

Wzywamy wszystkich ludzi dobrej woli, ceniących godność narodową, aby do tej hańby nie dopuścili.

Sprawozdanie z działalności Zarządu Głównego „Straży Polskiej“

za czas od 23. marca 1908 do 30. kwietnia 1909.

(Dokończenie).

Natychmiast po zorganizowaniu sekcyi prasowej, Zarząd główny polecił jej przedłożyć projekt **wydawnictwa organu stowarzyszenia**, uważając przedewszystkiem taki organ za najlepszy środek agitacyjny w kierunku przysparzania członków i zaznajamiania ogółu z dążnościami i działalnością „Straży Polskiej“.

Zaznaczyła się jednak różnica zapatrywań co do sposobu prowadzenia czasopisma. Jedni pragnęli mu nadać charakter „fachowy“, na wzór organów innych stowarzyszeń, a mianowicie zamieszczać w nim sprawozdania z obrad Zarządu i Kół, wraz z kroniką działalności Straży, ze szczególnem uwzględnieniem spraw przemysłu i bojkotu. Inni członkowie sekcyi byli przeciwni temu szablonowi, sądząc, że pismo tego rodzaju, z natury rzeczy suche, interesujące tylko pewne koła, nie znajdzie poparcia wśród całego społeczeństwa, że sprawozdania z posiedzeń Zarządu i Kół, przekazujące potomności dyskusye i wnioski, zadowolić mogą jedynie drobne ambicyjki jednostek. Radzili więc nadać pismu charakter więcej ogólny, więcej społeczno-literacki.

Ze starcia się tych zapatrywań, powstał ten odrębny, nowy, można powiedzieć, typ pisma, jaki przedstawia miesięcznik *Straż Polska*.

Pismo nasze łączy ze sobą kronikę działalności Straży i obszerny dział przemysłowo-bojkotowy z częścią literacką; kojarzy sferę najrealniejszych interesów z dążnościami idealnemi. Ale literatura „Straży“ to nie literatura dla literatury, sztuka dla sztuki, lecz zaprzągnięcie literatury w służbę naszych interesów narodowych. Niema jednego artykułu „literackiego“ w piśmie naszem, któryby albo nie poruszał spraw i potrzeb narodowych i społecznych w najobszerniejszem tego pojęcia znaczeniu, albo nie informował o stosunkach w różnych dzielnicach polskich, albo nie wskazywał grożących nam niebezpieczeństw, albo nie był przypomnieniem pięknej karty dziejów naszych, albo nie był obroną naszej przeszłości i naszych ideałów przed kłamliwemi zarzutami, albo przynajmniej nie budził ducha, nie nawoływał do czynów i pracy, nie chłostał wad stojących na przeszkodzie naszemu odrodzeniu. Każdy utwór poetyczny, umieszczony w piśmie naszem, uderzał w nutę szczerego patryotyzmu, każdy nawet fejleton satyryczny służył „dobrej sprawie“, gromiąc apatyę, sobkostwo, obłudę, zawiść, fałszywy patryotyzm..

Jedynie Nr 12. *Straży*, poświęcony pamięci Słowackiego, miał w znacznej części charakter czysto literacki — ale czyż oddanie hołdu wielkiemu poecie nie jest sprawą narodową?

W dziale przemysłowo-bojkotowym Redakcya poruszała te wszystkie sprawy, o których mówiliśmy już poprzednio przy charakterystyce działalności sekcyi ekonomicznej. Prócz tego dział ten zawierał mnóstwo spisów, wskazówek, informacyi i przyczynków z zakresu przemysłu i bojkotu. Chętnie też Redakcya udzielała w nim miejsca uwagom, nadsyłanym przez członków i ludzi fachowych.

Pozatem Redakcya prowadziła kronikę działalności Straży, podawała stale wspomniany już powyżej „kącik językowy“ i dział „Rozmaitości“, ściśle zastosowany do ogólnego kierunku, nadanego naszemu organowi.

Zaznaczamy jeszcze, że *Straż Polska* zamieszczała artykuły: A. Enz. Balickiego, K. Bartoszewicza, dra L. Caro, dra Z. Celichowskiego, Zdzisława Dębickiego, dra J. Flacha, dra T. Grabowskiego, W. Gomulickiego, M. Konopnickiej, dra T. Krzetuskiego, dra K. Lubeckiego, M. Magiery, E. Orzeszkowej, Cz. Pieniążka, dra J. Ptaśnika, dra K. Rozwadowskiego, L Rydla, G. Smólskiego, A. Swiętochowskiego, prof. St. Tarnowskiego, R. Woyczyńskiego.

Redaktorem *Straży Polskiej* jest prezes Zarządu głównego.

Chcąc zadość uczynić doniosłym zadaniom „Straży Polskiej“, Zarząd jej Główny musi stale przeglądać wszelkie polskie wydawnictwa peryodyczne, aby grupować fakty, badać opinię, szukać cennych wskazówek dla swej działalności.

Rozesłaliśmy z tego powodu listy do Redakcyj pism polskich, mając nadzieję niepłonną, że zechcą Zarządowi pracę tę ułatwić przez dostarczanie bezpłatne egzemplarzy swych wydawnictw.

Odezwa nasza nie pozostała bez skutku.

Z prawdziwą przyjemnością zaznaczamy, że otrzymujemy bezpłatnie: *Biesiadę Literacką, Czas, Djabła, Dziennik Poznański, Dziennik Powszechny, Dzień, Dziennik Polski, Gazetę Kościelną, Gazetę Powszechną, Gazetę Kołomyjską, Głos Narodu, Głos Nauczycielstwa Ludowego, Głos Ludu Śląskiego, Głos Polski, Głos Warszawski, Gońca* (lwowskiego), *Kraj, Kupca Polskiego, Kurjera Lwowskiego, Muzeum, Muzeum Przemysłowe, Myśl Niepodległą, Myśl Robotniczą, Nową Reformę, Odrodzenie, Patryjotyzm Polski Przemysłowy, Poradnik Językowy, Postęp Okulistyczny, Pracę* (pozn.), *Pracownika Polskiego, Przegląd* (lwowski), *Przegląd Narodowy, Przegląd Poranny, Przegląd Powszechny, Przewodnik Bibliograficzny, Przewodnik Oświatowy, Przyjaciela Ludu, Rodzinę i Szkołę, Rolę, Słowo Polskie, Śmigusa, Ster, Świat Słowiański, Sztandar, Tydzień* (samborski), *Tygodnik Illustrowany, Tygodnik Mód i Powieści, Wieńca i Pszczółkę, Wiadomości Prawnicze, Wiek Nowy, Wolne Słowo, Wszechświat, Wyzwolenie, Znicz, i Zgodę* (amerykańską)

Z pism tych urządziliśmy w lokalu „Straży“ osobną czytelnię dla członków Zarządu Głównego i Zarządów Kół.

Redakcyom wszystkich pism powyżej wymienionych składamy serdeczne podziękowanie za zrozumienie zadań „Straży“ i przyjście nam z pomocą do ich wypełnienia.

Należy jeszcze wspomnieć o paru szczegółach z działalności Zarządu Głównego:

Członek Zarządu Dr. Kazimierz Rozwadowski objął referat na zebraniu urzędników prywatnych, zwołanem z powodu ustawowego ich zabezpieczenia. „Straż Polska“ nie zajmowałaby się tą sprawą, gdyby nie okoliczność, że od woli ubezpieczających i ubezpieczonych zależało, czy olbrzymie sumy, płacone na ubezpieczenie, pozostaną w kraju i zasilą krajowe instytucye, czy wpłyną do kasy centralnej. Było więc obowiązkiem „Straży Polskiej“ zwrócić uwagę jednych i drugich na obowiązek ubezpieczenia się w krajowym zakładzie, zwłaszcza, że ze względu na interes osobisty jest to dla ubezpieczających zupełnie obojętne, dla ubezpieczonych zaś połączone z licznemi i wybitnemi korzyściami. Referat Dra Rozwadowskiego drukowaliśmy w N-rze 9 naszego organu.

Zarząd Główny polecił sekcyi prasowej, aby zastanowiła się nad sposobem informowania prasy zagranicznej o sprawach polskich. Idzie tu głównie o dziennikarstwo zachodniej i południowej Słowiańszczyzny, które albo mało zajmuje się naszemi sprawami, albo podaje o nich fałszywe wiadomości. Sekcya wybrała komisyę, która postanowiła zaprosić do swego grona kilku znawców stosunków słowiańskich i przy ich pomocy będzie się starała wypełnić włożone na nią obowiązki.

Na wniosek Dra M. Danielaka wybrano stałą komisyę budowy „Domu ludowego“ w Krakowie. Komisya ta porozumiewała się z posłami ludowymi i zwoła w jesieni konferencyę, w której prócz posłów i członków Zarządu Gł. wezmą udział reprezentanci gminy, wydziałów powiatowych, instytucyj społecznych i finansowych.

Sekcya prasowa postanowiła wydać *Przewodnik po Krakowie* przeznaczony wyłącznie dla wycieczek ludowych.

Kończąc na tem nasze sprawozdanie, czujemy się jeszcze w obowiązku podziękować serdecznie członkom Rady Nadzorczej, a w szczególności jej prezesowi p. radcy dworu prof. Bolesławowi Wicherkiewiczowi, za szczerą pomoc, jakiej od nich na każdym kroku doznawaliśmy.

Kraków, 3. maja 1909. *Zarząd.*

Zestawienie rachunkowe za rok 1908.

Przychód.	K	h
Wkładki członków	3100	58
Subwencye i dary	809	53
Różne	51	—
Razem . .	3961	11

Rozchód.

Wydawnictwo *Straży Polskiej* (po potrąceniu wpływów) . . .	1093	21
Lokal, opał, światło	723	58
Płace	510	—
Druki	374	06
Wydatki kancelaryjne	250	85
Nabycie inwentarza.	176	75
Urządzanie wieców (prócz plakatów i druków)	180	50
Różne	242	26
Saldo na rok 1909	409	90
Razem . .	3961	11

Władysław du Vall [illegible] — *Prof. Bolesław Wicherkiewicz* [illegible]

Klaudyusz Dębicki [illegible] — *Fr. Ks. Woyneko-Tomkiewicz* [illegible]

Rachunek miesięcznika „Straż Polska“.

Druk, wysyłka i koszta administracyjne	2344·74
Wpływ z prenumeraty i ogłoszeń . . .	1251·53
Niedobór w r. 1908 .	1093·21

Zarząd Główny:

Kazimierz Bartoszewicz
prezes.
Dr. Tadeusz Grabowski Marya Siedlecka
Wiceprezesi.
Antoni Euz. Balicki, Kazimierz Wł. Bartoszewicz jun.
sekretarze.
Władysław du Vall
skarbnik.

Członkowie Zarządu:

Ks. Dr. Józef Caputa	Michał Magiera
Dr. Leopold Caro	Ludwik Hipolit Małecki
Maksymilian Chyżewski	Romuald Makomaski
Szymon Dąbrowski	Dr. Kaz. Rozwadowski
Maryan Dąbrowski	Dr. Lucyan Rydel
Dr. Michał Danielak	Wincenty Satalecki
Ignacy Drewnowski	Henryka Starzewska
Janusz Dymek	Dr. Maryan Szyjkowski
Adam Gruelle	Dr. Ludwik Wilczyński
Władysława Habichtówna	Marya Wolińska
Dr. Kazimierz Kumaniecki	Dr. Ignacy Wróbel
Dr. Kazimierz Lubecki	Mieczysław Zielenkiewicz

Rada Nadzorcza:

Prof. Dr. Bolesław Wicherkiewicz
prezes.

Klaudyusz Dębicki	Zdzisław Sędzimir
Franciszek Macharski	Edward Szancer
Dr. Bronisław Olearski	Fr. Ksawery Tomkiewicz.

Członkowie założyciele:

Mieczysław Jurjewicz	Resursa urzędnicza w Krakowie
Franciszek Macharski	
Lesław Rzewuski	Dr. Bol. Wicherkiewicz.

Członkowie wspierający:

A. O.	Franciszek Paciorkowski
Dr. Franciszek Paszkowski	Jan Wolny (Stanisławów).

†

Na ostatniej karcie naszego sprawozdania musimy zapisać bolesną stratę, jaką „Straż Polska“ poniosła przez śmierć Dra Kazimierza Rozwadowskiego. Był on jednym z założycieli naszej instytucyi i przez ośm miesięcy piastował godność wiceprezesa Zarządu Głównego.

Na innem miejscu (patrz Nr. 13 naszego organu) oddaliśmy hołd jego pamięci. Tam też wykazaliśmy zasługi, jakie zmarły położył dla „Straży Polskiej“ i podnieśliśmy wysokie zalety jego charakteru i jego gorący, żadną prywatą nieskażony patryotyzm.

Niemczyzna w Magistracie krakowskim.

W jednym z nrów „Straży Polskiej“ zwróciliśmy uwagę na protegowanie języka niemieckiego w krakowskim magistracie. Że słowa nasze były uzasadnione, dowodem „Odezwa“ jaką wydał w tej sprawie p. Bolesław Gwidon Baranowski, wicesekretarz magistratu i kierownik Wydziału VI, przesyłając ją „do rozważenia i poparcia naczelnikom Wydziałów, Urzędów i Zakładów magistratu krakowskiego“.

Potępiwszy naszą obojętność na język własny, naszą chorobę upodobania w niemczyźnie, p. Baranowski tak dalej pisze:

„Podług rozporządzenia ministeryalnego z 4. czerwca 1869 władze polityczne w kraju naszym mają z urzędami państwowymi poza krajem korespondować w języku niemieckim. Tak, jak nie zniesiono dotychczas rozporządzenia o zatrzymaniu niemieckiego języka urzędowego w niektórych urzędach galicyjskich, a jeżeli co zmieniono, to zrobiono to po austryacku, czyli tylko *ut aliquid fecisse videatur* (dowodem tego niedawne rozporządzenie, dozwalające, a nie nakazujące, żandarmeryi korespondowania z władzami po polsku, z czego ona nie korzysta, bo jej komenda wojskowa tego sobie nie życzy), tak samo nie wydano jeszcze zarządzenia, odwołującego a przynajmniej modyfikującego nakaz pisywania za granicę kraju po niemiecku. To też Starostwa nasze, choć im to z pewnością przychodzi coraz trudniej, korespondują po niemiecku z urzędami państwowymi nawet na Śląsku lub Bukowinie, gdzie — jak wiadomo — język polski jest znany powszechnie i jego zrozumienie nie przysparza żadnej trudności urzędnikom. A przecież rozporządzenie o korespondencyi niemieckiej z urzędami pozakrajowymi pochodzi jeszcze z r. 1869, t. j. z czasów, gdy rząd centralny mógł nie przewidywać takiego, jak obecne, rozpowszechnienia się języków słowiańskich, z powodu czego też przy Namiestnictwach i Rządach krajowych są teraz urzędowi tłumacze do wszystkich języków austryackich.

„Nie mając prawa wglądania w urzędowanie Starostw naszych, powinniśmy przecież raz wreszcie jako urzędnicy Magistratu krakowskiego wyjść z obojętności i bierności naszej, a natomiast poważnie zastanowić się nad tem, czy słuszną jest rzeczą takie interpretowanie powyższego rozporządzenia ministeryalnego, iż także Magistraty lwowski i krakowski, jako władze polityczne I. instancyi, są obowiązane korespondować z urzędami poza krajem tylko w języku niemieckim. Z wyjątkiem pism do Magistratu praskiego, który po prostu nie przyjmuje od nas pism niemieckich i do którego dlatego pisze się zawsze po polsku, odchodzą z Magistratu tutejszego tysiące pism niemieckich do najróżniejszych urzędów, zakładów, instytucyi poza krajem.

„Wydział VI. może pochwalić się tem, że odkąd istnieje, wyszło zeń zaledwie kilka tylko pism niemieckich, były zaś to pisma w sprawach nagłych, a zarazem do miejscowości, w których według wszelkiego prawdopodobieństwa nie byłoby tłumacza pod ręką i musianoby dopiero posyłać rzecz do przetłumaczenia. Zresztą wszędzie i zawsze, czy to w kraju do władz wojskowych, czy poza krajem do jakichkolwiek urzędów lub zakładów, Wydział VI. pisze tylko po polsku bez względu na to, czy pisze jako władza gminna lub polityczna. Postępując tak konsekwentnie, Wydział VI. przez blizko 10 lat istnienia swego miał tylko jeden zatarg językowy i to nie z urzędem żadnym pozakrajowym, ale ze Starostwem w Białej z czasów, gdy było pod kierunkiem Rusina. Poza tem nigdy nie trafiło się jeszcze Wydziałowi VI. żadne nieporozumienie z powodu wyłącznego używania języka polskiego, i ani policya berlińska, ani władze rumuńskie, ani tem bardziej żaden urząd austryacki z Tyrolu lub węgierski z Siedmiogrodu nie zwrócił jeszcze nigdy pisma tutejszego, niezałatwionego jako niezrozumiałego.

„Po ministerstwach wiedeńskich Niemcy i liczni tam Czesi śmieją się w kułak z Polaków, którzy tak są łaskawi dla innych nacyi, że pomagają ich przedstawicielom zajmować w Ministerstwach posady, należące się Polakom w stosunku do ich siły liczebnej w Państwie. Liczba posad bowiem w Ministerstwach i innych władzach centralnych, wyznaczana członkom poszczególnych narodowości, zależy nie tylko od względów politycznych, ale i od tego, czy reprezentanci pewnych narodowości są tam specyalnie potrzebni. Jeżeli jednak cały wielki kraj koronny pisze do Wiednia tylko po niemiecku, to Niemcy nie potrzebują ustępować miejsc Polakom, bo sami potrafią załatwiać pisma niemieckie.

„Inaczej robią Czesi i dobrze na tem wychodzą. W centralnym Zarządzie pocztowych Kas oszczędności we Wiedniu z chwilą utworzenia tej instytucyi dostało posady 4 Polaków i 4 Czechów do załatwiania polskiej i czeskiej korespondencyi. Wkrótce ubył Polak jeden, a przybył Czech nowy; po jakimś czasie okazał się znowu Polak jeden zbędnym, ale Czesi nie pozwolili miejsca po nim obsadzić Niemcem, więc było 6 Czechów i 2 Polaków; świeżo zabrano jeszcze jednego Polaka do kraju i jest tam obecnie 7 Czechów, a jeden tylko Polak dlatego, że Polacy to wielcy panowie, szlachetni, łaskawi, uprzejmi wobec innych narodów, więc piszą do Zarządu pocztowych Kas oszczędności we Wiedniu po niemiecku, aby rodacy tracili tam posady na rzecz pobratymców. Czy to nie rozczulający objaw altruizmu naszego?!

„Mam właśnie przed sobą odrzucony przez Superaprobanta referat, składający się z dwóch ekspedycyi: pierwsza do Namiestnictwa, druga do Dyrekcyi poczt. Kas oszczędności we Wiedniu. Akt wrócił z aprobaty do Wydziału VI. z przekreśloną ekspedycyą drugą i dopisanymi wyrazami: „Władze polityczne w Galicyi z urzędami państwowymi poza krajem mają korespondować w języku, wymienionym w § 1. rozp. minist. z 4. czerwca 1869 Nr. 24. Dz. u. k.: także w myśl § 100. statutu m. Krakowa Magistrat jako władza polityczna“.

W odpowiedzi na narzucony mi rygor § 1. rozporządzenia minist. z 4. czerwca 1869, mam dla uspokojenia urzędniczego sumienia swego § 16. statutu gminnego, będącego ustawą krajową, późniejszą niż rozporządzenie powyższe: „Językiem urzędowym Gminy jest język polski“. Jest to przepis, obowiązujący przedewszystkiem i jedynie, nie pozwalający też wątpić, że pod względem języka urzędowego nie ma znaczenia § 100. statutu, opiewający! „W sprawach poruczonego zakresu Magistrat stosować się powinien do przepisów i instrukcyi, w drodze właściwej wydanych“. Uważam za niegodne urzędnika autonomicznego używać dobrowolnie niemczyzny w stosunkach z równorzędnymi naszemu Magistratowi organami państwa, w którem język ojczysty zaledwie jednej trzeciej części ludności całej wyrósł na język państwowy, nie uznany zresztą formalnie *(in Oesterreich gibt es eigentlich keine Staatssprache)*. Nikt mnie nie przekona, że dla rozporządzenia ministeryalnego z przed lat 40 i z powodu niedbałego układu statutu gminnego (dopuszczającego pozornej kolizyi pomiędzy §§ 16. a 100.) mam rezygnować ze świętych dla mnie praw języka ojczystego do jak największego rozwoju jego tu u siebie na ziemi ojczystej. Robię swoje, t. j. to, co mi nakazuje robić moje sumienie urzędnika zaprzysiężonego. Tak samo — mojem zdaniem — powinien postępować cały Magistrat, nie lękając się ewentualnego wytoczenia sprawy przed forum Trybunału, którego rozstrzygnięcia pomyślnego jestem pewny“.

P. Baranowskiemu należy się szczera podzięka za jego energiczną i patryotyczną odezwę. Oby wydała rezultat, oby najwyższy władzca nad magistratem znalazł czas, poza uprawianiem „polityki“, rozejrzeć się w sprawie tak ważnej i spełnić swój... obowiązek.

W sprawie naszych zdrojowisk i miejscowości klimatycznych.

I.

O Ciechocinku [1]).

(Brulion listu).

Nie piszę tego w Ciechocinku, ale w Zakopanem, a mam tylko przed sobą ostatni numer „Zdroju Ciechocińskiego“, który tak dokładnie o wszystkiem, co się tam dzieje, dobrego, czy złego, ogół nasz informuje. Czytacie tam nasze „Zakopane“, i z niego nawet wiadomości o nas powtarzacie — odwdzięczę się Wam dzisiaj i powtórzę głośno za Wami, co się u Was niedobrego dzieje, a tego nam za złe nie weźmiecie, bo wziąć nie możecie.

Takie zresztą powtarzanie wzajemne naszych zdań, uczciwie poczęte — i nam i Wam na dobre wyjść powinno. Przecież za zasadę wziąć trzeba, że jeżeli my tu od czasu do czasu, a Wy jeszcze rzadziej — zmuszeni się widzimy wystąpić otwarcie przeciw własnemu kątowi, czy jego Zarządowi, to robimy to w tem czystem przekonaniu, że to na zdrowie naszym uzdrowiskom wyjdzie, jak na zdrowie wychodzi łyżka często przykrego w smaku lekarstwa podana choremu. Chyba to zresztą jest jednem z głównych i zasadniczych zadań prasy naszej [2]). Gorzkie są często nasze słowa o naszem Zakopanem, gorzki jest i Wasz szesnasty numer Zdroju.

A zatem i u Was robi się „kroki wstecz“! Nie cieszę się z tego, przeciwnie — boleję, bo wierzę, że nam nie wolno się cofać, twierdzę, że nam nawet nie wolno stać na miejscu, a trzeba iść i dążyć naprzód i naprzód... A cóż się dzieje

[1]) Z pisma „Zakopane“.

[2]) Zwracamy uwagę, że to pisze lekarz klimatyczny dr. J. Zychoń. Jestto najlepsza odpowiedź na żakowską napaść na „Straż Polską“, jakiej dopuścił się p. Mazurkiewicz, zarządca Iwonicza, na zjeździe balneologów w Krakowie. Panowie tego rodzaju nie pojmują, że wytykając ujemne strony naszych zdrojowisk, pragniemy ich poprawy i rozwoju. Kiedy napisaliśmy gorący artykuł przeciw odwiedzaniu badów zagranicznych, a za popieraniem swoich, to nikt z panów „balneologów“ za to nam nie podziękował, ale kiedy dla ich dobra wytykaliśmy wady, zaraz odezwało się: huzia na „Straż Polską“!

tymczasem? Wymieniacie całe szeregi nazwisk polskich Ritterów, co w brudnych i drogich Zoppotach polskie pieniądze tracą...

Piękna to ilustracya do tak gorąco okrzykiwanego u nas bojkotu niemieckich badów, jeszcze stosowniejsza do poważnego traktatu o naszej wytrwałości, o naszem poczuciu solidarności, a nawet o naszej godności narodowej! Nie ma rady — drukujcie dalej te nazwiska, może właściciel którego spróbuje nam udowodnić, że Zoppotów inną miejscowością leczniczą zastąpić nie można, bo my przecież dotąd w to nie wierzymy.

Muszę Wam jednak powiedzieć w oczy, że postępujecie nieoględnie. Zapowiedzieliście poprzednio, że taką listę ogłosicie i macie teraz dowód, że ta zapowiedź zrobiła swoje. Tak się przejął Zarząd, czy Komitet Waszego Ciechocinka tą walką z niemczyzną, że nie dał Wam pożyczki na wydawnictwo „Illustrowanego Przewodnika po Ciechocinku i okolicy, w języku niemieckim“. Inaczej przecież tej odmowy zrozumieć nie można. Że nie zrozumiał ów Zarząd, że ogłaszanie nazwisk tych polskich Ritterów w Zoppotach bawiących i wydanie przewodnika po Ciechocinku w języku niemieckim, to myśl jedna, a dwa tylko czyny, wzajem się dopełniające, to się znowu tak bardzo nie dziwię. Zarząd — Zarządem — nie może wszystkiego rozumieć. Pocieszcie się, że i u nas coś podobnego się stało. Starałem się usilnie i długo, by Zakopane rozpoczęło się reklamować, a należąc do Komitetu budżetowego Komisyi klimatycznej, wynalazłem na ten cel dwa tysiące koron; — połowę z tego chciałem obrócić na koszta wydania i rozlepienia afisza reklamowego w trzech językach po większych chociaż na razie węzłowych europejskich stacyach kolejowych.

Czy uwierzycie, że znalazł się taki członek Komisyi klimatycznej (lekarz!), który wniósł protest do Namiestnictwa i Wydziału krajowego z przedstawieniem, by na to nie pozwoliło? Czy uwierzycie, że Wydział krajowy uznając częściowo motywa tego protestu, poradził Komisyi klimatycznej pozycyę tę skreślić? Nie ma na to pieniędzy! A skądże ich wogóle wziąć, gdy się reklamować nie będziemy!

W czasach naszych, pary, elektryczności i samochodowej benzyny głośić trzeba światu o naszem istnieniu, a zaniechać roli fiołków, co to wonią tylko, niewidzialne, zwracają uwagę przechodnia. Na inne uczucia przecież liczyć już nie można, jak świadczą nasi „Polacy w Zoppotach“.

Dr. J. Ż.

II.

Zakopane.

Czem ono obecnie?

Wioską górską? Nie. Miejscowością kuracyjną na miarę europejską? Także nie. Jest czemś pośredniem, czemś, co nie daje już wrażeń dawnych, szczerze wiejskich, opromienionych urokiem poezyi, mieszkającej w górach, a z drugiej strony nie zaspokaja wszystkich wymagań człowieka kulturalnego.

Sam środek Zakopanego — Krupówki — mają wygląd ulicy, przeniesionej żywcem z małego miasteczka galicyjskiego. Ciasno, brudno, podczas słoty wprost niechlujnie. Na przyjezdnym, który przybywa tu jak do stacyi klimatycznej, czyni to wrażenie odstręczające. Jakto? — zapytuje mimowoli — więc to są warunki, w których zdrowie ma się poprawić, a nerwy mają wypocząć? A przecież tu właśnie ześrodkowuje się całe życie zakopiańskie, tu jest największy ruch powozów i pieszych, tu są restauracye i kawiarnie, gdzie gromadzi się w godzinach popołudniowych po kilkaset osób, które przyjechały zdaleka dla świeżego powietrza i pięknych widoków. Czemże one oddychają i co widzą? Płuca ich wchłaniają pył, a oczy patrzą na ubogie niesmaczne „kamieniczki“ z przeciwka.

I jeżeli w takiej chwili przypomnieć sobie te rozkoszne tarasy, jakie posiadają hotele i restauracye nawet w drugo i trzeciorzędnych miejscowościach szwajcarskich, te widoki rozległe na błękitne jeziora i na szczyty gór, żal bierze i wstyd. Żal, że nic podobnego niema w Zakopanem, wstyd, że jakieś fatalne niedołęstwo kazało tu ludziom budować werandy nie z widokiem na góry, ale z widokiem na brudną ulicę. A przecież goście ma Zakopane pod dostatkiem i to goście, którzy tu zostawiają znacznie więcej pieniędzy, niż tam.

Więcej, bo Zakopane jest bardzo drogie i dorównywa pod względem cen najdroższym miejscowościom na świecie, z tą różnicą, że gdzieindziej płaci się za wykwint, tu za bardzo średnie wygody.

Kiedy na wiosnę zapytywałem jednego z moich przyjaciół, czy będzie w tym roku w Zakopanem, odpowiedział mi, że jedzie do Bretanii, bo jest za ubogi na Zakopane.

Jest niewątpliwie przesada w tem powiedzeniu, tkwi w niem jednak także i pewna doza prawdy, z którą powinni zacząć się poważnie liczyć właściciele mieszkań, hotelów i pensyonatów w Zakopanem.

Dzisiejsze umeblowanie przeciętnego mieszkania zakopiańskiego pozostawia jeszcze bardzo wiele do życzenia w stosunku do ceny tego mieszkania, a znośne wyżywienie rodziny, złożonej z kilku osób, kosztuje drożej niż w Belgii, we Francyi i we Włoszech.

Nadto w Zakopanem są wydatki nadzwyczajne, wytrącające często najskrupulatniejsze nawet budżety z równowagi. Jedną ze stałych pozycyi w takich wydatkach są konie. Istnieje wprawdzie taksa dla dorożek w Zakopanem, ale taksa malowana, z której górale nie wiele sobie robią. Przyzwyczajeni do zdzierania siódmej skóry z „ceprów“, zepsuci przez publiczność warszawską, która kiedyś bawiła się nimi, demoralizując ich jednocześnie, stali się dzisiaj typowymi wyzyskiwaczami.

Oczywiście, mniejszą na to uwagę zwracają ludzie, którzy przybywają w góry dla gór samych, ci, dla których Zakopane jest tylko *pied à terre* pomiędzy jedną a drugą wycieczką. I oni jednak mają swoje coraz poważniejsze ale. Zastęp ich jest bardzo liczny, bo sport turystyczny rozwinął się w ostatnich latach ogromnie. Góry są już obecnie „schodzone“ wzdłuż i wszerz. Dawniejsze trudne wycieczki, na które ważył się nie każdy, dostępne są dzisiaj dla wszystkich. Snują się też po upłazach, przełęczach i turniach w pogodne dni wędrowcy rozmaitego wieku i płci różnej, a wśród nich nie brak i przybyszów z „tamtej“ strony — Węgrów i Niemców, którzy chętnie ze Smokowca idą ku Zakopanemu. Otóż ci wszyscy turyści narzekają coraz głośniej na obecny stan schronisk, utrzymywanych przez Towarzystwo tatrzańskie. Dość powiedzieć, że schronisko przy Czarnym Stawie, położone w punkcie, który stał się od lat kilku miejscem niemal codziennych spacerów, nie biorąc już pod uwagę, że większość wycieczek musi około tego schroniska przechodzić i tu zazwyczaj odpoczywa, że schronisko to, powtarzam, gdzie goście często po kilkadziesiąt osób, jest zwyczajną budą, zapuszczoną i brudną. Cóż więc dopiero mówić o innych, dalszych i mniej uczęszczanych?

A przecież przy Czarnym Stawie powinienby raczej stać porządny hotel — i gdyby stał — to niewątpliwie miałby powodzenie, zwłaszcza u tych, co przyjeżdżają do Zakopanego tylko na krótko i tylko dla wycieczek, cóż bowiem za wygoda oszczędzić sobie tylokrotnej nudnej i przykrej drogi przez Boczań.

Nie rozpisuję się o dalszych niedomaganiach Zakopanego, bo tylko na najważniejsze chciałem zwrócić uwagę, na te, które istotnie — prędzej czy później — o ile nie zostaną usunięte, odbiją się na frekwencyi i powstrzymają dalszy rozwój „polskiego Davos“.

Do poziomu europejskości powinno i musi dążyć całe Zakopane. Mając taki przewodnik cywilizacyi, jak kolej, nie może ono zostać tem, czem jest obecnie. Potrzeba mu dobrych, lepszych, niż obecnie hoteli i pensyonatów, potrzeba mu większej dbałości o wygodę gości i turystów, potrzeba mu wreszcie konsekwentnej walki z wyzyskiem i zdzierstwem, uprawianem dziś na szeroką skalę. Inicyatywa rozumna, kapitał i obywatelskie dążenie naprzód mogą w ciągu lat kilku dokonać wiele, jeżeli jednak nic nie zmieni się na lepsze, wówczas za lat kilka zacznie się niewątpliwy upadek „letniej stolicy Polski“. *Caveant consules!*

Z. Dębicki.

Listy członków „Straży Polskiej“.

I.

Jeden z członków naszego Zarządu otrzymał list od nauczyciela ze Śląska, z którego wyjątek podajemy:

...Idzie o walkę kulturalno-narodową na Śląsku Cieszyńskim wogóle, a w szczególności na pograniczu morawsko-śląskiem w t. zw. zagłębiu karwińsko-ostrawskiem. Byłem tam przez 3 lata nauczycielem... znam więc, mogę powiedzieć, dość dobrze tutejsze stosunki, bo z bezpośredniej obserwacyi i obcowania z ludem.

Walka kulturalno-narodowa, jaka się tu toczy ma za sobą coraz to większe masy ludowe, jednak masy ciemne, bezkrytyczne, stąd dotychczasowo zdane na szarlatanizm polityczny i teror skrajnych partyi, które za wszelką cenę dążą do wyciśnienia swej marki na wszelkim ruchu polskim na kresach. (W tem miejscu autor listu szeroko przedstawia jak jedno ze stronnictw wyzyskuje dla swych celów walkę o szkołę polską. Ustępy te, jednak musimy opuścić, aby nie zejść z naszego stanowiska pozapartyjnego. *Przyp. redakcyi).*

Drugą przyczyną, która skłoniła mnie do niniejszego listu, jest pewna jednostronność usiłowań odpolszczenia kresów śląskich. Do dotychczasowych środków walki należy głównie: szkoła (słabo organizowana) czytelnie, odczyty i nieczęste wiece w stylu powyżej wspomnianym. Tymczasem o ekonomicznej robocie prawie zapomniano, jak gdyby Czech lub Niemiec przestraszył się polskiej deklamacyi lub polskiej pieśni. Szkoła sama, zwłaszcza ludowa, nie daje również niczego. Znamy bowiem wypadki, że uczeń i z polskiej szkoły czeszczy się lub niemczy szybko, gdy los rzuca go w zależność ekonomiczną obcych.

Tem głównie tłumaczy się fakt, że ludność polska w Cieszyńskiem, przewyższająca prawie dwa razy liczbą ludność czeską i niemiecką, razem wzięte, — odgrywa zawsze rolę kopciuszka. Własność ziemska w $^3/_4$ w obcych rękach, toż samo wielki przemysł i handel. Istnieją tu i ówdzie dość liczni rzemieślnicy polscy i drobniejsi przemysłowcy, ale bez poparcia zorganizowanego polskiego ogółu łatwo ulegają wpływom obcym. My powinniśmy tu dążyć do ekonomicznego wzrostu, bo w dzisiejszych warunkach głównie ten daje siłę i wpływ polityczny w ciałach wyborczych. Bez tego będziemy w gminach tworzyli nawet 60% ogółu, jak n. p. w Pol. Ostrawie, a Czesi będą nami rządzili i odmawiali nam bodaj tylko jednej polskiej szkoły.

I prawdziwie godnem ubolewania jest to, że n. p. we wspomnianej gminie polski rzemieślnik lub kupiec musi oglądać się na Czechów, jakby wśród swoich nie mógł znaleść dostatecznej liczby odbiorców.

A przecież choćbyśmy nie posiadali kapitałów do tworzenia przedsiębiorstw, to i tak mamy kolosalną siłę ekonomiczną t. j. ćwierć miliona konsumentów, a ci przecież mają swobodę wyboru swoich dostawców. — „Gdyby tylko chcieli — chcieć!“ — A gdyby panowie radni czescy i zarazem kupcy wiedzieli, że polski robotnik zbojkotuje cicho ich sklepy i gospody, to nie stawialiby się tak hardo i przeciw polskim szkołom...

Nie spełnią tego zadania ani „T. S. L.“ ani „Macierz szkolna“, mające program czysto oświatowy (ściślej mówiąc: szkolarski).

Sądzę, że do tych celów powołała Opatrzność polska: „Straż Polską“. Rozmyślałem wiele nad tem, bawiąc w Krakowie, jakby to przydały się tu w Ostrawie polskiej podobne jak „Straż“ wydaje tablice bojkotowe i spisy firm i fabryk polskich.

Przybywszy napowrót na Śląsk wróciłem do dawnych myśli uporczywie i wystarałem się o sprawozdanie z ostatniego roku admin. „Straży Polskiej“. Wiele rzeczy tam poruszonych zainteresowało mię bardzo i postanowiłem sobie dołożyć wszelkich starań, by „Straż Polską“ po zmianie statutu pchnąć całą siłą pary na Śląsk.

To postanowienie spowodowało mię właśnie do skreślenia listu niniejszego...

Opuszczamy zakończenie i nie dajemy podpisu autora ze względu, że list jego jest prywatny. Natomiast zwracamy uwagę, że treść jego dziwnie się zgadza z tem, co napisaliśmy w artykule: Ze spraw śląskich (nr. 11. „Straży“) i z tem co wielu ślązaków w Krakowie nam opowiada. Szkoła ludowa nie wystarcza — trzeba we wszystkich kierunkach pracować nad odpolszczeniem Śląska. Tę samą myśl rozwijał przed kilku dniami, odwiedziwszy biuro „Straży“, p. A. M. jeden z najdzielniejszych działaczy na Śląsku. Prosił nas również, żebyśmy zachęcali inteligencyę polską i rzemieślników do osiadania na Śląsku. I on powtarzał: „że samą szkołą ludową niewiele zrobimy“.

II.

Szanowna Redakcyo!

Wpadł mi w ręce nr. „Kupca Polskiego“ polemizujący ze „Strażą Polską“ i z artykułem prof. Balickiego „Wycieczka do Warszawy“.

Zapewne sama redakcya rozprawi się z „Kupcem Polskim“ [1]) — pozwolę sobie jednak odpowiedzieć na jeden argument tego pisma. Ponieważ p. Balicki stawiał na wzór kupcom naszym grzeczność i kulturę kupców warszawskich, przeto „Kupiec Polski“ zaznacza, iż ci kupcy, co się przenieśli z Galicyi do Warszawy doznają tam powodzenia, dochodzą do majątków, *ergo* są widocznie równie grzeczni i kulturalni.

Na oko argument poważny — tylko mała do niego poprawka: są rzeczywiście równie grzeczni i kulturalni, ale tej grzeczności i kultury nabyli zazwyczaj dopiero w Warszawie.

Mogę to stwierdzić z własnej praktyki.

Miał w Krakowie handel pierwszorzędny pan X. *(nomina sunt odiosa)*. Bywałem czasami wieczorem w tym handlu i doznawałem tego uczucia (jak zresztą i w innych handlach), że gospodarz i służba czynią mi łaskę, dostarczając żądanego jadła czy napoju. Nieraz trzeba było długo czekać, zanim chłopak czy subiekt uwzględnił moje życzenia, czasami trzeba było kilka razy się upominać o zamówioną „bombkę“, czy potrawę, a nawet o wzięcie pieniędzy. Skargi do „wyższej instancyi“ rzadko odnosiły skutek — słyszałem nieraz opryskliwe odpowiedzi. Nie zniechęcało mnie to do uczęszczania do tego „lokalu“, bośmy się w Krakowie do tych stosunków tak przyzwyczaili, że raczej bylibyśmy zdziwieni gdyby nas prędko i grzecznie obsłużono. Samego gospodarza miałem szczęście nieraz oglądać, ale zazwyczaj zajęty był rachunkami, lub siedział przy stoliku w gronie swych przyjaciół. Czasem raczył się ukłonić, a nawet rzucić: moje uszanowanie.

Ponieważ nieszczególnie mu się powodziło, przeto przed kilku laty przeniósł się do Warszawy i jak mi mówiono jest na drodze do zrobienia majątku. Przed rokiem, bawiąc w Warszawie, wstąpiłem przypadkowo do jego handlu. Zaledwie mnie zoczył, natychmiast przybiegł z powitaniem, wyraził swoją radość, że „zaszczyciłem“ jego „interes“, sam wyszukał mi miejsce przy stoliku, oddał mnie w opiekę grzecznemu kelnerowi.

Byłem obsłużony znakomicie — wyprzedzano moje życzenia. Szczęście to jednak nietylko mnie spotykało; — widziałem, że tak samo traktowano innych gości, że gospodarz ciągle był w ruchu, że kazał zmieniać potrawy, jeżeli która komu nie smakowała, że pilnował służby, aby szybko załatwiała zamówienia... Przy wyjściu kłaniał mi się kilkrotnie, pytał „jak smakowało“, „całował rączki“ polecał się „pamięci pana dobrodzieja“... Zupełnie inny człowiek niż w Krakowie.

To jeden przykład, a teraz drugi.

Czytelnicy zauważyli już zapewne, że nie jestem eleuterykiem. Przyznam się do wielkiego dla „wstrzemięźliwców“ występku, a mianowicie, że choć niecodziennie, ale co trzeci, lub co czwarty dzień zachodzę w południe do pierwszorzędnego krakowskiego „handelku“, aby wypić kieliszek wódki. A jako człowiek stałych zasad pijam zawsze tylko... pomarańczową.

Otóż do tego handelku uczęszczam lat kilkanaście i jeszcze nigdy mi się nie zdarzyło, aby ową pomarańczową podano mi bez zamówienia — i nigdy mi się nie zdarzyło, aby na pokorną prośbę o kieliszek wódki nie zapytano mnie: „jaką służyć panu dobrodziejowi?“ Ze prośba niezawsze zaraz jest wysłuchana, że ją trzeba ponawiać, o tem dla znających handelki krakowskie mówić „nie trza“.

Otóż, również przed rokiem, wchodzę w Warszawie do „baru“ na Nowym Świecie. Proszę o pomarańczową (już bez pokory, bo wiem, że tego tam nie potrzeba,) a tu ku mojemu dziwieniu „pan z za lady“ uśmiechając się mówi: „stoi już dla pana dobrodzieja“.

Pokazało się, że ów pan znał mnie dobrze, bo był przez 6 lat chłopcem w owym krakowskim handelku, że przez 6 lat pytał mnie w Krakowie: „jaką służyć panu dobrodziejowi?“ — a dopiero w Warszawie dobrze wiedział, że pijam pomarańczową.

Te dwa przykłady są dla mnie dostateczne do stwierdzenia, że krakowski ludek handelkowy przeniósłszy się na bruk warszawski, dopiero na nim uczy się sprytu i grzeczności. I dzięki zapewne tej „edukacyi“, a nie czemu innemu, cieszy się w Warszawie powodzeniem. *S. W.*

[1]) W artykule „Jeszcze królowa opinia“ zaznaczamy dlaczego z „Kupcem“ nie polemizujemy. List jednak pana S. W. jako podający charakterystyczne szczegóły chętnie w całości pomieszczamy.

Fabrykaty leków.

Tematem głównym trzeciego posiedzenia zjazdu internistów w Krakowie była kwestya, obchodząca bardzo blizko szersze sfery publiczności i bezpośrednio tycząca się bojkotu. Chodzi o fabrykaty leków. W sprawie tej prof. Walery Jaworski i docent Między-Mięsowicz wygłosili rzecz na temat: „O zaradzeniu deprawacyi medycyny wykonawczej przez nowoczesne prądy w fabrykach chemicznych i aptekach“.

Otóż prelegenci wskazali na przytępienie tkliwości świata lekarskiego, która pozwala na umieszczanie ogłoszeń najpoważniejszym pismom lekarskim o środkach rzekomo leczniczych, nietylko bez podania składu chemicznego, ale nawet z zachwalaniem ich skuteczności i wskazaniami, jakie się podoba producentom napisać. Dziś już trudniej wyszukać nazwy, niż lek sam. Nikt nie wie, co lek zawiera, mimo to go stosują, bo nazwa i reklama robią swoje. Preparaty tego rodzaju fabrykują dziś nietylko partacze, ale wielkie fabryki chemiczne i apteki. Przemysł chemiczny i aptekarski zasypuje niemi lekarzy i dział ogłoszeniowy najpoważniejszych pism lekarskich. — (Cóż dopiero mówić o dziennikach politycznych, kalendarzach i t. d. Przyp. Redakcyi). Dzisiejsza generacya lekarzy przyjmuje wszystko za dobrą monetę i nietylko nie oddziaływa na te wybryki niesumienności i oszustwa, ale je bezwiednie popiera. Skąd to poparcie? Stąd, że dziś już nie trzeba myśleć o składzie chemicznym, działaniu leku i jego dawkowaniu: łatwo teraz leczyć, jeżeli na każdą chorobę ma się lek, którego nazwa zgadza się z nazwą choroby, a dawka już gotowa w pastylce lub kapsułce. Lekarz, ordynując tego rodzaju lek, bierze tylko sam nieopatrznie na siebie wielką odpowiedzialność za możliwe następstwa, bo zagranicznego fabrykanta lub aptekarza do odpowiedzialności pociągnąć nie można. Jeżeli lekarz zacznie zapisywać antiphthisiny, antidyspeptyny i t. p., na cóż mu jego studya chemii, farmakologii, na cóż ta żmudna obserwacya kliniczna i szpitalna? Żalimy się na partaczy i znachorów, którzy w coraz większej liczbie się pojawiają. Czy lekarz, zapisując środki reklamowe o nieznanym mu składzie, jak antidiabetin, antimorfin i t. p., różni się czem od partacza, który choremu poleci zażywanie proszków z popiołu albo węgla? Jeden i drugi nie wiedzą, czem leczą i jaki skutek będzie.

Droga, którą się obecnie reklamowe specyfiki do praktyki wciskają, jest zwykle następująca: Naprzód jeden lekarz, ujęty przez agenta podróżnego lub przez sążnistą reklamę, zacznie środka używać w dobrej wierze; drugi lekarz, dostawszy próbkę, napisze list z podziękowaniem lub uznaniem, co producent w tej chwili przedrukuje, trzeci napisze nawet obserwacyę ze szpitala lub kliniki. Producent ma już od lekarzy wszystko, czego chciał. Idzie teraz do pism codziennych i pisze np.: „**Sanatogen** środek wypróbowany przez pierwszorzędne powagi naukowe i tysiące lekarzy, niezawodnie skuteczny w niedokrwistości, charłactwie, złem trawieniu i t. p.“. Poparcia lekarzy już teraz nie potrzeba, lek sam się chwali i bywa rozchwytywany przez publiczność. Na takim koniku wyjechały **somatoza, hematogen, hematol, sirolina** i wiele innych. (Wszystko to wyroby niemieckie, pruskie. Przyp. redakcyi). Nie należy przecież dawać się używać za narzędzie bezwiedne, przez które wciska się szalbierstwo do medycyny wykonawczej i ją kompromituje. Należy pracować nad tem, aby dawny uczciwy polski przemysł aptekarski zakwitł, a szalbierczy wyzysk zagraniczny ustał.

Między innemi, prof. Jaworski przytoczył kilka przykładów jaskrawych, dowodzących, jak mało można ufać tak często zachwalanym w ogłoszeniach lekom najróżnorodniejszym, tudzież niektórym pozornie poważnym firmom chemicznym.

Oto np. pewien berliński „Instytut chemiczny“ puścił w obieg z wielką wrzawą lek w pastylkach pod nazwą „**Pyrenol**“, jako nowy jednolity Związek chemiczny mieniący się się „Benzoylthymolnatrium benzoylo-oxybenzoicum“. Ma to być według fabrykanta lek wykrztuśny i kojący, przewyższający wszystkie inne. Chemicy twierdzą, że takiego związku chemicznego niema, a nawet nie możnaby go wytworzyć. Badanie zaś przetworu wykazało, że składa się on z mieszaniny równych ilości dwóch surowych i zanieczyszczonych ciał (będźwinianu i salicylanu sodowego,) a zatem może to każdy lekarz zapisać w stanie czystym i wtedy wie przynajmniej, co chory zażywa i jakich skutków leczniczych ma się spodziewać. Chory zaś taniej zapłaci za lek receptowy, niż za lek zapisany pod nazwą „Pyrenolu“. Ilu to znanych klinicystów złapało się na pyrenol, zachwalając go w świadectwach i poważnych rozprawach klinicznych jako lek „świetnie działający!“

Podobnie puszcza corocznie poważna firma berlińska w obieg nowy preparat pod nazwą „**Jodofan**“, jako jednolity związek chemiczny, nadając mu szumną nazwę i wzór: „monojod-dioxybenzol-formaldehyd“, który to wzór wymaga 47·7% jodu; tymczasem badanie Zernika w Berlinie wykazało tylko 4% jodu. Tak można polegać na reklamach fabrycznych!

Znany jest wszystkim sławny „**Fleischsaft Puro**“, który wyrabia „Zakład medyczno-chemiczny“ w Monachium dr. Scholla. Zachwalano go jako środek „wybitnie krwio-twórczy, wzmacniający, odżywiający“. Przetwór ten, swoją drogą bardzo smaczny, był przez kilkanaście lat z ogromnym entuzyazmem przez lekarzy używany; sypały się pochwały, a szpitale i kliniki rozprawami stwierdzały jego arcyskuteczne działanie na krew, bo przetwór w reklamie uchodził za wyprasowany sok mięsny ze świeżego mięsa, zawierający 33% białka mięsnego, a jeden słoik o 150 grm. miał mieć wartość odżywczą około 2½ kilogr. mięsa! Firma głosiła przytem, ile to tysięcy wołów tucznych zużywa rocznie na wyrób tego przetworu. Dziś się ta blaga urwała, bo drogą badań zdołano wykazać, że „Puro“ nie zawiera ani śladu bydlęcego białka mięsnego, o którem wiadomo, że bez zmiany zagęścić się nie da. Badanie zaś dokładniejsze wykryło, że sławne „Puro“ składa się z zaprawy, pozostałej po wysoleniu szynek z domieszką białka kurzego i kwasu borowego. Słoik tej mieszaniny, sprzedawanej jako „Puro“ po 3 korony 70 halerzy ma wartość co najwyżej 20 hal. Gdy fabryce zrobiono zarzut z powodu oszukiwania publiczności i lekarzy, odpowiedziała cynicznie, że skład ją nie nie obchodzi, gdyż za przetworem przemawiają świetne wyniki lecznicze, wykazane i potwierdzone przez tysięcy lekarzy, a referent dodaje: zasugestyonowanych oszukańczą reklamą przetworu. Dziś, gdy spadła z niego zasłona, grobowa cisza pokrywa „Puro“, chwalcy jego milczą ze wstydem, a z nimi wstydzi się cały praktykujący świat lekarski.

Oto dosadne przykłady, w jaki sposób pozornie rzetelne firmy, zwąc się zakładami chemiczno-medycznemi, postępują. Biorą jaką bądź mieszaninę, przedstawiają ją jako nowo utworzony, jednolity związek chemiczny, tworzą dla niego ogromnie fantastyczną nazwę i długi wzór chemiczny, którego lekarz skontrolować nie potrafi, wyszukują dla przetworu rzekomo „nowego“ wcale żadną nazwę od takiej choroby, która najwięcej zysku może przynieść, fabrykują do tego rozprawy z doświadczeniami na zwierzętach i z obserwacyami dla chorych; ostatecznie zestawiają z tego wszystkiego „uczone“ reklamy, aby lekarzy obałamucić. I interes idzie już dobrze. Przytem fabrykant zaraz zabezpiecza się przed konkurencyą, zastrzegając się, że jego przetworu nie zdoła nikt naśladować, przestrzega więc przed „bezwartościowem naśladownictwem“ i grozi sądowemi krokami. Tego rodzaju postępowanie firm tworzy nowotwór, toczący wykształcenie lekarskie i poniżający praktykę lekarską. Trzeba go tępić najostrzejszemi środkami.

Taką była treść wykładu. Referenci przedstawili zjazdowi do uchwalenia następujące rezolucye: Zjazd uchwali:

1. Nazwa środka leczniczego nie powinna pochodzić, ani od nazwy choroby, ani od szczegółowego wskazania, względnie objawu chorobowego. Nazwą „antinervinum“ np. można nazwać kwas-salicylowy, aspirynę, antipirynę, salipirynę, pyramidon, kofeinę, chininę i wiele innych.

2. Nazwa środka leczniczego ma się stosować albo do składu chemicznego, albo do własności chemicznych lub fizycznych.

3. Każdy środek leczniczy musi mieć przy ogłoszeniu równocześnie wymieniony dokładny skład chemiczny rzeczywisty, a nie fikcyjny.

4. Bez spełnienia powyższych warunków żadne czasopismo lekarskie nie powinno leków w ogłoszeniach umieszczać, inaczej staje się współwinne partactwa lekarskiego.

5. Specyfiki ze wskazaniem choroby lub o nieznanym składzie należy uważać za leki tajne i jako takich żaden szanujący się lekarz nie powinien ich zapisywać.

6. O środkach, które z góry mają wskazania chorobowe lub nieznany skład chemiczny, żaden lekarz nie powinien ogłaszać polecających je artykułów, lub prac klinicznych, tem mniej dawać poświadczeń; za próbki takich leków nie należy dziękować, ani na zapytania odpowiadać. Jeżeli fabrykant nie będzie miał poświadczeń lekarskich, nie będzie ich reklamował.

7. Apteki, które specyfiki na lekarstwa sporządzają lub sprzedają, należy uważać za trudniące się partactwem i nierzetelne.

8. Odnieść się należy do Izb lekarskich, aby wdrożyły akcyę przeciw partactwu lekarskiemu, jakie fabryki i apteki uprawiają, wprowadzając i zachwalając leki na chorobę, t. j. postarać się o zakaz nazywania leków według chorób.

W dyskusyi zabrał głos dr. Mikołajski ze Lwowa i zaproponował, ażeby rezolucye prelegentów przedłożono zjazdowi Izb lekarskich austryackich dla uchwalenia i wprowadzenia w życie pod ochroną prawną. Świeżo zawiązany „Związek prasy lekarskiej polskiej“ powinienby także zająć się tą sprawą. Należałoby także pirawę wprowadzić na międzynarodowy kongres lekarski, celem obmyślenia łącznego postępowania.

Dr. Pisek z Podgórza wskazywał, ażeby znani lekarze praktycy wstrzymywali się od zapisywania specyfików.

Prof. dr. Gluziński zaznaczył, że np. **Syroliny** przychodzi do Galicyi rocznie 150.000 flaszeczek po 4 kor. za sztukę. Krocie więc wychodzą rocznie z Galicyi na samą tylko Syrolinę, a cóż dopiero mówić o innych specyfikach? Co więcej, to wydawanie pieniędzy nie zawsze połączone jest z dobrem chorych. Sprawa nie da się załatwić uchwaleniem rezolucyi; zmiana na lepsze leży w ręku lekarzy. Nie powinni być zanadto wygodni, powinni zapisywać lekarstwa, a nie specyfiki: czasem wchodzi tu w grę konkurencya lekarska. Lekarze powinni chronić publiczność, która jest przez fabrykantów specyfików wyzyskiwaną. Np. bajecznie drogo kosztują **somatozy** i **natrony**; przy tych środkach za pół jajka płaci się 50 halerzy, gdzie je można mieć za kilka halerzy. Sprawę należałoby przedłożyć wielkiemu przyszłemu zjazdowi lekarzy.

Dr. Dłuski również krytycznie zapatrywał się na chemiczne fabrykaty spożywcze, które bardzo łatwo zastąpić się dadzą naturalnemi środkami spożywczemi przy odpowiedniej ilości kaloryi, z lepszym dla chorych pożytkiem. Dlatego mówca usunął środki sztuczne ze swego zakładu.

Dr. Fidler z Radomia sądził, że tego rodzaju zagadnień nie da się załatwić przepisami policyjnemi; zdaniem mówcy należałoby stworzyć instytut, któryby badał specyfiki i zalecał godne użycia.

Po tej dyskusyi, Zjazd jednogłośnie uchwalił rezolucye prof. Jaworskiego i dra Mięsowicza.

Jeszcze... królowa Opinia.

Kuryer lwowski ogromnie się gniewa na „Straż Polską“. Gniewa się i wymyśla. O co idzie?

Oto *Kuryerowi* zdaje się, że go skrzywdziliśmy, że popełniliśmy „niesumienność publicystyczną“, że dopuściliśmy się umyślnie kłamstwa.

Czytelnik sam osądzi, czy *Kuryer* powinien się na nas gniewać, czy raczej nie powinien nam być... wdzięczny.

Przedstawiając zachowanie się naszego dziennikarstwa w sprawie Meinla, pisaliśmy:

„*Kuryer lwowski* o 4000 kor. Meinla na cele germanizacyjne zachował milczenie. Dopiero w nrze 302 umieścił apoteozę Meinla, ale dał jej tytuł: „Doniesienie prywatne“ i zaznaczył, że świadectwo moralności wystawia Meinlowi p. Rudolf Espenhan, kierownik lwowskiej filii Meinla“.

Przyznajemy, żeśmy popełnili omyłkę. *Kuryer* bowiem nie milczał o 4000 kor., ale w nrze 294 z 26 czerwca podał pomieścił w kronice krótką wiadomość o nich, kończącą się słowy: „Niechże publiczność polska pamięta przy zakupnie kawy u p. Meinla, na co idą jej pieniądze“.

Kuryer dodaje jeszcze, że tę notatkę dał na **dwa dni** przed innemi pismami.

I w tych **dwu dniach** właśnie leży przyczyna naszej omyłki. Prosiliśmy jednego z członków naszego „Koła akademickiego“, aby nam zebrał wszystko to, co pisma nasze pisały o Meinlu. Zastosował się do naszej prośby, wybrał numery dzienników z całego tygodnia, a mianowicie od dnia 27 czerwca do 3 lipca, od niedzieli do niedzieli. Tymczasem notatka *Kuryera* była o jeden dzień wcześniejsza.

Gdyby i tak nie było, omyłka jest rzeczą ludzką, można coś przeoczyć. O złą wolę posądzać nas jest śmiesznością, bo nie kierujemy się żadnemi antypatyami tak do dzienników, jak do stronnictw, jeżeli tylko są narodowe. *Kuryer lwowski* powinien o tem wiedzieć, a więc dość było z jego strony pomyłkę sprostować, a my najchętniej sprostowanie to bylibyśmy pomieścili.

Idzie jednak o to, powtarzamy, czy *Kuryer* ma powód do gniewu.

Po przeczytaniu naszego artykułu czytelnik mógł przypuszczać: Redakcya *Kuryera lwowskiego* nie wiedziała o 4000 koron, a więc milczała, później zaś administracya jego umieściła owo „Doniesienie prywatne“, zaznaczając, że pochodzi ono od oficyalisty p. Meinla. W porównaniu więc do innych dzienników (mógł sądzić nasz czytelnik) *Kuryer lwowski* wyszedł stosunkowo poprawnie“. Samo przytoczenie przez nas p. Espenhana, jako autora artykułu i zaznaczenie, iż *Kuryer* podał ów artykuł nie od siebie, ale jako „doniesienie **prywatne**“, było z naszej strony aktem dobrej woli, dowodem, że podkreślamy „okoliczność łagodzącą“, że zmniejszamy winę *Kuryera*.

Inaczej jednak rzecz się przedstawi, kiedy przeczytamy dalsze „wyjaśnienie“ *Kuryera*.

Dowiadujemy się bowiem z niego co następuje:

„W jakiś czas po pojawieniu się naszej notatki, zjawił się w naszej redakcyi wysłany z Wiednia rzecznik p. Meinla, który prosił o zamieszczenie w dziale redakcyjnym notatki, usprawiedliwiającej firmę Meinla i donoszącej, że M. złożył na Tow. Szkoły ludowej 2000 kor. Odmówiliśmy temu żądaniu pomimo kilkakrotnych próśb wiedeńskiego i lwowskiego zastępcy firmy Meinl i jakkolwiek inne pisma tutejsze zamieściły wyjaśnienie p. Meinla w części redakcyjnej, **zgodziliśmy się** tylko na umieszczenie oświadczenia kierownika filii lwowskiej p. Meinla w rubryce inseratowej „Doniesienia prywatne“.

A więc *Kuryer* wiedział o 4000 kor. *Kuryer* wezwał publiczność do bojkotu Meinla, *Kuryer* nie chciał umieścić w dziale redakcyjnym notatki usprawiedliwiającej p. Meinla, a potem **zgodził się** na umieszczenie płatnego, inseratowego doniesienia, że „firmie Meinla wyrządzono wielką krzywdę“, że p. Meinl „nie wziąłby udziału w akcyi, któraby zajmowała wrogie stanowisko przeciw którejkolwiek narodowości“, że p. Meinl jest filantropem, propagatorem zgody między narodowościami itd., że „niema powodu na firmę Meinla oburzać się, lub ją bojkotować“.

Na to „doniesienie“ **zgodziła się**, jak widzimy nie administracya, ale **redakcya** *Kuryera*.

A teraz czytelniku, co lepiej: czy gdyby redakcya *Kuryera* nie wiedząc o 4000 kor. milczała o nich, a **administracya** umieściła inserat meinlowski (jak to przez pomyłkę „Straż Polska“ przedstawiła), czy też, że redakcya *Kuryera* (jak to sama zgodnie z prawdą podaje) wiedziała o darze hakatystycznym Meinla, wystąpiła pierwsza przeciw niemu i potem **zgodziła** się (**redakcya** nie administracya) na umieszczenie ogłoszenia, stojącego w sprzeczności — ba! polemizującego z jej opinią, z jej własnym artykułem.

Czy zatem przez swą omyłkę wyrządziliśmy krzywdę *Kuryerowi*, czy raczej oddaliśmy mu mimowolnie przysługę?

* * *

Wprost przeciwnie niż z Meinlem, postąpiła sobie krakowska „królowa Opinia“ z cyrkiem Angelo, bo naprzód go pochwaliła, przyjęła prawie entuzyastycznie, a dopiero później (ale po niewczasie) prawdę o nim napisała.

Cyrk ten miał przybyć do Krakowa koło 10 lipca, więc już na trzy tygodnie przedtem P. T. Publiczność czytała w organach wszystkich stronnictw, że zjeżdża do nas słynny, znakomity cyrk **francuski**, „jeden z największych i najelegantszych w Europie“. „Bez przesady można powiedzieć (pisał jeden z dzienników), że niema w świecie drugiego mu równego“. Dyrektorka cyrku miała się nazywać Solange d'Atalide (dowód francuskości cyrku), „zamiłowana sportsmenka i arystokratka z pochodzenia“. O tej pani na parę dni przed przybyciem cyrku pisano, że płonie taką miłością do narodu polskiego, iż podczas podróży po Niemczech spotykały ją z tego powodu nieprzyjemności. Ażeby zaś dać dowód, jak nas kocha, jak dba o „nasze kresy“ pani Solange ofiaruje 5% na cele Szkoły ludowej.

Pomijamy, czy wypada wogóle organom „królowej Opinii“ robić reklamę dla cyrkowców, obcych wydwigroszów, wyciągających pieniądze z naszej kieszeni — pomijamy dalej, czy wypada naszym istytucyom patryotycznym z podobnych źródeł czerpać swoje dochody. Ale oto, co się pokazało:

Cyrk Angelo przyjechał, reklama zrobiła swoje, niezliczone tłumy oblegały „przybytek sztuki“, „prowincya“ przepełniała dążące do Krakowa pociągi kolejowe — ścisk był taki, że policya rady dać sobie nie mogła, że omal nie przyszło do katastrofy. I nagle „królowa Opinia“ zmieniła (powtarzamy: po niewczasie) swe zdanie i oświadczyła, że cyrk Angelo jest takim cyrkiem, jak inne, że niema w nim nic nadzwyczajnego. Ale zanim ta Opinia cofnęła się z drogi entuzyazmu, pani, czy panna Solange zgarnęła kilkadziesiąt tysięcy do swojej kasy.

Co więcej, okazało się, co „Opinia“ przyznała, ale już po wyjeździe cyrku, że ten cyrk francuski jest cyrkiem niemieckim, że tresura koni odbywa się w nim po niemiecku, że „artyści“ i klowni, tak „Arabi“, jak „Chińczycy“ wraz z samą dyrektorką posługują się językiem niemieckim, że namioty cyrkowe noszą markę fabryk lipskich, maszyny pochodzą z Magdeburga itd. Ten charakter niemiecki cyrku wywołał nawet demonstracyę przeciw niemu, ale dopiero... w Rzeszowie.

A Szkoła ludowa? Naturalnie wzięła 5% w ilości 760 K. (rachunków, rzecz prosta, nie sprawdzano), a prezes Szkoły ludowej, poseł Bandrowski podał do pism z podpisem swoim serdeczne podziękowanie ...**francuskiej** trupie cyrkowej, jej dyrektorce i jej sekretarzowi.

* * *

Z kolei cyrk Angelo zawitał do Lwowa.

Zdawałoby się że „odkrycie“ rzeszowskie i owe po niewczasie głosy dzienników krakowskich, przedstawiające ów cyrk we właściwem świetle, powinny były wpłynąć na przyjęcie jego we Lwowie.

Widocznie jednak dziennikarze lwowscy piszą, a nie czytają, zachwyt ich bowiem nad cyrkiem przeszedł wszelkie granice. Jeden z najpoważniejszych dzienników poświęcił na czele kroniki spory artykuł pierwszemu przedstawieniu. Unosił się nad „urodą“ całego personalu kobiecego — panią czy pannę Solange d'Atalide nazwał „niezwykłem zjawiskiem“. Wszystkie produkcye cyrkowe były dla niego „bez zarzutu“. Sprawozdawca opisał szczegółowo ubranie dyrektorowej: miała na głowie „Rembrant jasno pomarańczowy z czarnym na krysach podkładem, niebieskie nizko zwisające pióro, żakiet gris z lekka wydekoltowany i t. d. Drugi dziennik (*Kurjer lwowski* zapewne przypomni sobie jego tytuł) zaznaczał, że amerykańska reklama cyrku francuzkiego (!) nie była przesadzona, że było sporo przybyszów z „prowincyi“, że „tresura koni jest nadzwyczajna“, że słonie „wprowadzały w podziw“, i t. d. — zakończył zaś słowami: „Cyrk znalazł uznanie“.

Lecz niestety i tu odwróciła się karta. Orkiestra cyrkowa zagrała „Boże carja chrani“ na cześć czterech będących na przedstawieniu oficerów rosyjskich.

Po tem otrzeźwieniu, posypały się w tychże samych dziennikach ostrzeżenia. Wynaleziono, że francuzka dyrektorka jest żydówką z poznańskiego, że całe urządzenie cyrku, namioty, motor elektryczny i t. d. pochodzą z pruskich fabryk (Trenknera w Lipsku, Smidta z Magdeburga), że nawet główne afisze wykonała firma W. Rodhego z Hamburga.

Zachwyt ucichł, ale znów poniewczasie, kiedy cyrk zgarnął już całe wory monety kurs w kraju mającej [1].

* * *

Podobnie postąpiła sobie „królowa Opinia“ i z „maj dame“ Hanako. Przed przyjazdem tej „wielkiej“ artystki japońskiej do Krakowa czytaliśmy dziwy o jej wspaniałegze i... piękności. Jeden z najpoważniejszych organów opinii w jednym i tym samym numerze, w przeddzień przybycia „słynnej znakomitości“ dał dwa o niej artykuły: jeden na wierszy 150, drugi na 250.

Po przedstawieniu zaś i po wyjeździe „gwiazdy sztuki scenicznej“ dowiedzieliśmy się z tychże organów opinii, że madame Hanako jest stara, brzydka i gra... jako tako. Jeden z dzienników nawet napisał, że gra... ladajako.

Pokazało się, że „wielka artystka“ występuje ze swą trupą nie na scenach stołecznych, ani nawet na drugorzędnych, ale byle gdzie: w Colosseach, Odeonach, u nas w teatrze ludowym (?). Występowała i w Tarnowie, gdzie rozlepiono o jej przybyciu afisze... niemieckie, potem zawitała do Zakopanego — zapewne uszczęśliwi i Kołomyję. Taka to „światowej sławy“ artystka — z tingel-tanglów berlińskich.

Ale ta przynajmniej nic nie dała na Szkołę ludową, więc też i nie dziękował jej poseł Bandrowski.

* * *

[1] Z Nowego Sącza donoszą świeżo do „Głosu Narodu“. Uważając Nowy Sącz za jedno z większych miast, zjechał tu także wielki francuski (?) cyrk Angelo, ogłaszając kilkumetrowymi afiszami, wprawdzie w polskim języku, że przez trzy dni zaszczyci tu nas swemi cudnemi przedstawieniami dwa razy dziennie. Mieszkańcy pospieszyli we środę 8. września na pierwsze przedstawienie, na którem jednak doznali rozczarowania, gdyż usłyszeli tylko szwargotanie po niemiecku. Postanowili tedy wszyscy bojkotować ten cyrk i na wczorajszem przedstawieniu zdołał on zaledwie zebrać 60 koron, podczas gdy na pierwszem przedstawieniu miał uzbieranych przeszło 4000 koron. Wskutek tego musiał cyrk odwołać wczorajsze przedstawienie, zrzec się reszty przedstawień i natychmiast opuścić nietylko Nowy Sącz, ale całą Galicyę, udając się do Bielska na Śląsku austryackim. Popisało się więc nasze miasto patryotyzmem większym od Krakowa i Lwowa.

Nasza „królowa Opinia“ wie także, co warto przedrukowywać.

Przypominają sobie czytelnicy, że w sprawozdaniu Straży polskiej wypowiedzieliśmy bez ogródek, co myślimy o zachowaniu się naszego kupiectwa wobec bojkotu. Zdanie nasze było oparte na całorocznem blizko zajmowaniu się bojkotem, na badaniach naszej sekcyi ekonomicznej, na informacyach z najpoważniejszych źródeł, na opinii innych instytucyi bojkotowych, na tysiącznych wreszcie faktach, dostarczanych nam przez nasze „Koła“, sekcye, przez publiczność, przez wszystkie dzienniki, a nawet przez samych kupców.

Prosta rzecz, że nasza charakterystyka stosunku kupiectwa do bojkotu nie mogła się podobać *Kupcowi Polskiemu*. Wypadało mu, jako organowi kupiectwa, wystąpić w obronie „patryotyzmu“ kupców — wszak nawet p. Dattner na zarzuty, uczynione Izbie handlowej za jej zachowanie się w sprawie odniemczenia kolei, oświadczył patetycznie, że... nie potrzebuje lekcyi patryotyzmu.

Wystąpienie *Kupca Polskiego* jest zupełnie zrozumiałe. Musiał zaprzeczyć (coprawda gołosłownie) naszej opinii, musiał pochwalić nas za „dobre chęci“, ale i wytknąć nam „nieznajomość rzeczy“, „zapał“ zbyt nas unoszący i jeszcze coś podobnego.

Jak czytelnicy zauważyli, na artykuł *Kupca* nie odpowiadaliśmy, boć spełniał on swój „obowiązek służbowy“, bo gołosłowne jego zaprzeczenia nie nadawały się do dyskusyi.

Nie o *Kupca* też nam idzie, ale o te dzienniki, które jego artykuł przedrukowały. Naszych zarzutów nie powtórzyły, ale obronie „interesowanych“ otworzyły swe łamy i uczyniły to bez uwag, a więc solidaryzując się z treścią obrony. A przecież, gdybyśmy mieli czas na to, to wykazalibyśmy, że w tych samych dziennikach w ciągu roku pomieszczono setki faktów, dowodzących słuszności naszej opinii, że te dzienniki nie przebierały bynajmniej w słowach, piętnując na każdym kroku zachowanie się naszego kupiectwa wobec bojkotu.

Skądże więc ta zmiana... przekonań? Skąd owa obrona „uciśnionych“? Czy przypadkiem nie z tego powodu, że ujemną opinię wydała „Straż Polska“, ta „Straż Polska“, która jeszcze więcej niż kupcom, jest nie na rękę niektórym dziennikom. Ach! jak to przyjemnie dokuczyć tej „Straży“ choćby przedrukiem z *Kupca* artykułu, w którego zapewnienia sami panowie redaktorowie ...nie wierzą.

Znalazło się nawet w Warszawie jedno pismo, które artykuł *Kupca* powtórzyło, ale redakcyę tego pisma tłumaczy zupełnie bezgraniczna naiwność, albo przyzwyczajenie do szerokiego używania nożyczek dziennikarskich, bez zastanawiania co wyciąć można, a czego nie należy.

* *

Podajemy powyżej streszczenie referatu i dyskusyi na zjeździe internistów w sprawie „specyfików“ leczniczych.

Referenci wystąpili ostro przeciw redakcyom czasopism lekarskich, które umieszczają ogłoszenia o tych bezwartościowych, czysto oszukańczych fabrykatach.

Uczynili to całkiem słusznie. Sami nie tak dawno, przerzucając zeszyt jednego z pism lekarskich, znaleźliśmy w nim w części redakcyjnej wykazanie całej nicości fabrykatu *Puro*, a jednocześnie w dziale ogłoszeniowym szumne dla niego pochwały, jako dla środka, który o mało że zmarłych nie powraca do życia.

Zauważy ktoś może: cóż szkodzi ogłoszenie o takim fabrykacie, jeżeli jednocześnie redakcya zaprzecza jego wartości. Napozór uwaga słuszna, ale tylko napozór. Bo naprzód pisma lekarskie, choć specyalne, często wpadają w ręce laików, choćby np. tylko w poczekalniach lekarskich. Taki laik nie czyta pisma, tylko je przerzuca — i oto wpada mu w oko ogłoszenie. Czyta o znakomitym, nieocenionym, zalecanym przez powagi lekarskie specyfiku, a więc wierzy w tę jego znakomitość, boć to ogłoszenie nie w jakimś tam dzienniku, ale w piśmie lekarskiem. Może mu wpadnie w oko i właściwa ocena, a wtedy... zdziwi się. Ale ta ocena właściwa znajduje się tylko w jednym numerze, a ogłoszenie jest w n-rach dwunastu, to jest w jedenastu takich, w których niema „właściwej oceny“. Co więcej, dowiedzieliśmy się z referatu zjazdu, że są i lekarze i to niestety liczni, dla których ogłoszenie w piśmie lekarskiem jest... powagą.

Wzmianka o ogłoszeniach w pismach lekarskich, nasuwa nam kilka uwag o dziale ogłoszeń w naszych dziennikach.

Już pisząc w zeszłym numerze „Straży Polskiej“ o czterotysięczno-koronowym Meinlu, zaznaczyliśmy tę niesłychaną, szkodliwą, wrogą często nawet interesom narodowym nieoględność (wyrażamy się grzecznie), jakiej dopuszczają się nasze dzienniki w płatnym dziale „Głosów publicznych“, „Doniesień prywatnych“ itd. Ta nieoględność mniej wprawdzie jaskrawie, ale za to nierównie częściej, a więc zarówno szkodliwie występuje w zwyczajnych ogłoszeniach.

Prawda, że „redakcya nie bierze za nic odpowiedzialności“. Ale co to znaczy, a raczej powinno znaczyć? Oto rzecz prosta, że trudno wymagać od redakcyi, aby umieszczające ogłoszenia o „czystych winach“, o „niezniszczalnych wannach“, o „najprzedniejszej herbacie“, o „tanich i trwałych kaloszach“, o „przystojnej brunetce ze 100 tysiącami posagu“ itd. — trudno wymagać, powtarzamy, aby redakcya przekonywała się o tych win dobroci (może się zresztą nie znać na winach), aby naprzód się kąpała w niezniszczalnych wannach, a dopiero po latach dała o nich ogłoszenie, aby próbowała wszystkich najprzedniejszych herbat, chodziła w ogłaszanych kaloszach dla przekonania się o ich trwałości, aby wreszcie sprawdzała, czy brunetka jest rzeczywiście przystojna (zresztą różne są gusta!) i czy te 100.000 posagu posiada hipotekę dobrą, czy też hipotekę... na księżycu.

Za takie ogłoszenia żadna redakcya nie może rzeczywiście ponosić odpowiedzialności.

Ale jeżeli wie wójt i choć nie cała gromada, to część jej znaczna, że pewne towarzystwo przewozowe do Ameryki wysyła nasz lud, do takich stanów brazylijskich, gdzie czeka go zguba nieuchronna — to czy dziennik, umieszczający ogłoszenia takiego towarzystwa nie staje się pośrednikiem tego potwornego handlu? Czy opinia publiczna nie powinna go pociągnąć do odpowiedzialności za każdą sprzedaną duszę chłopską? Czy „administracyjna“ działalność tego pisma różni się czem od działalności hakatystów, pragnących żywioł polski osłabić i zniszczyć?

Ale jeżeli wie wójt i znaczna część gromady, że te i owe fabrykaty, a zwłaszcza pruskie, dają się zastąpić wybornie wyrobami krajowymi, to czy dziennik, zamieszczający ogłoszenia o tych obcych fabrykatach nie działa na zgubę przemysłu polskiego, nie pośredniczy w zbogaceniu obcych, a przedewszystkiem wrogów naszych, nie przyczynia się do zubożenia kraju? Tu niema żadnych tłumaczeń, żadnych usprawiedliwień. Tu uchylanie się redakcyi od odpowiedzialności za to, co czyni administracya, jest wprost potworne, redakcya bowiem i administracya to całość wydawnictwa.

Ba! ale redakcye się tłumaczą. Mówią: my co innego, a administracya co innego — nie moglibyśmy głosić pięknych haseł, spełniać swej misyi cywilizacyjnej, apostolskiej, gdyby dziennik stał źle materyalnie, nie możemy więc pozbawiać się żadnych dobrze płatnych ogłoszeń... Piękna etyka!

Cóżbyśmy powiedzieli o stowarzyszeniu, mającem na celu ochronę przed nierządem, któreby dla zyskania środków do propagandy utrzymywało dom publiczny?

Więc czytasz w dziennikach: popierajmy przemysł ojczysty! — więc znajdujesz w nich potępienie kupców, sprowadzających pruskie towary i wymaganie od nich, aby choć z własną stratą zaopatrywali się w towary swojskie — czytasz wezwania do publiczności, aby kupowała wyroby krajowe, choćby za nie nieco więcej płacić miała — a po tych wezwaniach do „spełnienia obowiązkui ofiarności, znajdujesz na ostatnich stronicach (a często i w środkowych, za lepsze pieniądze) szumne ogłoszenia o obcych „najlepszych“, „bezkonkurencyjnych“ mydłach, pastach, lakierach, szczotkach, atramentach, krochmalach, itd. A wśród tych ogłoszeń spotykasz i czysto oszukańcze: owe wspomniane powyżej specyfiki lecznicze, środki na „piękny biust“, „epokowe“ odkrycia na porost łysin, owe serye 25 lub 50 przedmiotów najużyteczniejszych za 4 korony, ów tuzin dywanów, sprzedawany za 8 kor. z powodu bankructwa fabryki itd. Aby handel szedł!

Od wszystkich wymaga się patryotyzmu, ofiarności — od obowiązku tego uwolnieni są tylko wydawcy dzienników.

I nie myślcie nawet, że owe obce ogłoszenia (z wyjątkiem „Głosów publicznych“, „Nadesłanych“ itd.) są dobrze płatne. Przeważnie wpływają one za pośrednictwem „agencyi inseratowych“, które ustanawiają swoje własne, niesłychanie nizkie ceny. Obcy przemysłowcy i handlarze, przysyłający wprost ogłoszenia, dyktują również swoje warunki. Oświadczamy stanowczo, że za ogłoszenie tych rozmiarów, za jakie płaci nasz przemysłowiec lub kupiec dajmy na to 40 koron, płacą obcy co najwyżej 25 koron.

Czysty zysk z tych obcych ogłoszeń (biorąc na uwagę koszta druku, papieru, korespondencyi, administracyi itd.) jest nadzwyczaj marny, ale jest. A więc: narodzie! popieraj przemysł ojczysty! nie daj się oszukiwać wyzyskiwaczom! nie wzbogacaj obcych potem swej pracy! — a my, wydawcy, będziemy Ciebie do tego nawoływać i jednocześnie reklamować obcy przemysł i wyzyskiwaczy, „pot“ Twój przelewać do obcych kieszeni, bo nam coś z tego... kapnie. Nie wiele, bo niewiele, ale zawsze coś.

Nieprawdaż? — jaka to zacna, miła, szlachetna ta drukowana... „królowa Opinia“?

Rozmaitości.

Zapytanie. *Głos ludu śląskiego* pisze: Zapytujemy publicznie starostę frysztackiego, p. Bobowskiego, co zamyśla uczynić, aby nauczyciele czescy w Karwinie (kierownik i nauczyciel) zaprzestali kupowania dzieci polskich po koloniach robotniczych do czeskiej szkoły cukierkami, czekoladą i pieniądzmi. Ci handlarze żywym towarem obchodzą bowiem polskie rodziny i kupują formalnie polskie dzieci do czeskiej szkoły. My oświadczamy, że doniesienie do władz z faktami zrobimy.

Urzędowanie niemieckie w czysto-polskich gminach trwa dalej — pisze *Głos ludu śląskiego* — chociaż w niektórych tych gminach niema Niemca ani na lekarstwo. Winę ponoszą tutaj ludzie starej daty, rządzący Wydziałem gminnym, którzy się lokajować, lizać i służyć wiernie, jak ten rekrut oficerowi, przyzwyczaili i który z tą niewolniczą duszą już umrą. Te niewolnicze dusze, renegaci najwięcej, bez godności własnej i narodowej, przyzwyczaili się do popierania niemczyzny tak, jak się człowiek przyzwyczaja często do brudu, choroby, suchot lub alkoholu. Również nauczyciele-renegaci, czystej krwi karyerowicze, tę germanizacyę popierają, żeby być lepiej widzianymi u władzy. Dla karyery potrafili się pozbyć wstydu, sumienia, godności własnej i narodowej. Tacy ludzie to zakała Śląska.

Gmin takich jest dużo we Frysztackiem, Cieszyńskiem i Bielskiem. Co jest naprawdę oburzające, to ta okoliczność, że urzędują po niemiecku i gminy i szkoły w gminach, które mają niby charakter polski. W tej sprawie trzeba poczynić zbiorowe kroki po gminach, zorganizować agitacyę należycie i wyplenić należycie resztki tego śmiecia germańskiego. Oporne zaś gminy poddać należytej krytyce.

Jeżeli chodzi o praktyczne względy, toć przeciez są wyborne podręczniki polskie dla sekretarzy, którzy mogą znakomicie z nich czerpać wzory na podania. Niema poprostu żadnych względów, któreby urzędowanie po niemiecku usprawiedliwiały.

Brak rozumu. Temuż *Głosowi ludu śląskiego* piszą z Niemieckiej Lutyni: Nasi chłopi i robotnicy, zarażeni niemczyzną, potracili rozum. Oto podobno złożyli już 2000 K na „niemiecką“ szkołę, inni chłopi ofiarować mieli bezpłatnie konie dla dowozu piasku, cegły i t. d., jeden ofiarować miał kawałek gruntu pod tę szkołę. Jeśli to prawdą, to świadczy o wielkiem zatabaczeniu mózgownic renegackich.

Przeciw Wiśle. Specyalna Komisya rosyjska dla spraw żeglugi odrzuciła projekt regulacyi Wisły. Obecnie warszawski zarząd okręgu komunikacyi otrzymał od ministeryum wnioski tej komisyi, które odtąd stają się wytyczną postępowania na przyszłość. Komisya uznała, że Wisła w obecnym swym stanie „nie posiada odpowiedniego połączenia z siecią dróg wodnych Cesarstwa“. Wobec tego, „wszelkie roboty wodne na niej powinny być ograniczone tylko do rozmiarów niezbędnych, stosownie do potrzeb lokalnych i zobowiązań, zawartych z sąsiedniemi mocarstwami“.

Z tego okazuje się, że uznano Wisłę za arteryę komunikacyjną trzeciego rzędu, przeznaczoną dla drobnego spławu produktów miejscowych, nic a nic państwa nieobchodzącego.

Tymczasem jeden rzut oka na mapę wystarcza, ażeby przekonać się, jak daleką od rzeczywistego stanu rzeczy jest ta uchwała. Wisła, połączona przez dopływy swoje (Bug i Muchawiec) kanałem z Prypecią, ma znaczenie olbrzymie, a przy minimalnie kulturalnej eksploatacyi posiadałaby jeszcze większe dla całego południowo-zachodniego kraju.

Ale państwo, które dokłada do kolei żelaznych 120 milionów rocznie, państwo, w którym dziesiątki milionów pudów zboża gnije całemi miesiącami po stacyach kolejowych wskutek braku wagonów i bajecznie niedołężnej gospodarki kolejowej, zapoznaje znaczenie rzeki tylko dlatego, że przepływa przez Król. Polskie, nie chce korzystać z drogi wodnej dlatego, że droga ta prowadzi przez kraj polski.

Denuncyacya fałszywa przez zemstę. Straż ogniowa ochotnicza w Sulejowie otrzymała — jak pisze korespondent *Kuryera Zagłębia* z Piotrkowa — pozwolenie na budowę własnego budynku, w którym na parterze mieścić się mają szopy na narzędzia i sklep Kółka rolniczego, na I. zaś piętrze sala zebrań, odczytów i przedstawień amatorskich. Plan został zatwierdzony i poczęto się krzątać około budowy, gdy do

zarządu straży zgłosili się przedsiębiorcy miejscowi żydzi z żądaniem oddania im budowy. Zarząd straży odmówił i rozpoczął budowę sposobem administracyjnym.

Gdy założono już fundamenty, żydzi przedsiębiorcy podali skargę do władz z różnemi denuncyacyami, że w sali budującego się gmachu straży ma się mieścić Macierz Szkolna (!) i odbywać się mają zebrania nielegalne (!). Do skargi tej przyłączyli się żydzi, którym dobrze prosperujące Kółko rolnicze utworzyło dotkliwą konkurencyę.

Na skutek tej skargi w dniu 22. z. m. zjechał na miejsce naczelnik powiatu piotrkowskiego, przeprowadził śledztwo i wstrzymał budowę do czasu rozstrzygnięcia sprawy przez władzę wyższą.

O klepsydry dwujęzyczne. Z Piotrkowa donoszą: Zarówno przed ogłoszeniem konstytucyi, jako też podczas stanu wojennego, w całem Królestwie „klepsydry" (karty pośmiertne) drukowane były jedynie w języku polskim. Obecnie policmajster m. Piotrkowa nakazał, wbrew prawu zwyczajowemu, drukowanie klepsydr w dwóch językach — rosyjskim u góry i polskim poniżej.

Agitacya wszechniemiecka w Cieszyńskiem. *Deutsche Wehr*, wychodzący w Opawie, zamieszcza artykuł Hermana Holdscheka. Autor, usiłując zakreślić linię wytyczną polityki niemieckiej względem Słowian, dochodzi do wniosku, że wytyczną tej polityki musi być „nieustanne germanizowanie ziem polskich w Austryi". Przedewszystkiem należy „pochłonąć Śląsk cieszyński, a następnie Galicyę". To ciężkie zadanie spełnić mogą Niemcy przy pomocy stowarzyszeń o celach wszechniemieckich, jak „Nordmark", „Schulverein", tudzież „Alldeutscher Verband" w Berlinie, dlatego też „niepowinno społeczeństwo niemieckie skąpić grosza na popieranie tych stowarzyszeń". Oto główna treść wyzwania prowokacyjnego. Nie przedstawia dla nas nic nowego, ale stwierdza znowuż niezbicie, że przy pomocy marek pruskich prowadzi się systematyczną germanizacyę.

Ludność miasta Sosnowca. Według danych urzędowych Sosnowiec posiada 80.710 mieszkańców, a więc jest trzeciem co do ludności miastem w Królestwie (Warszawa, Łódź, Sosnowiec). Podczas, gdy wszędzie prawie rodzaj żeński co do ilości ma przewagę nad rodzajem męskim, w Sosnowcu stosunek ten jest odwrotny: mieszka tu mężczyzn 44.142 i kobiet 36.568.

Podług wyznania ludność dzieli się na: katolików 56.027, protestantów 7.5000, prawosławnych 1.845 i żydów 3.261.

Ostatnia liczba zwraca uwagę. W miastach i miasteczkach polskich żydzi stanowią zwykle 50 procent ludności, a niekiedy nawet więcej; w Sosnowcu ludność żydowska stanowi zaledwie 16 procent ogólnej liczby mieszkańców.

Podług narodowości ludność Sosnowca przedstawia się w sposób następujący:

Polaków 56.299, Niemców 7.569, Rosyan 2.211, Litwinów 299, Francuzów 634, Tatarów 39.

Reszta przypada na żydów i drobne liczby na inne narodowości: Włochów, Anglików itd.

Dowcip Chopina. W chwili, gdy zjawił się własnoręczny list Kopernika, piętnujący Niemców-Krzyżaków, jako „praedones, latrones et homines sceleratos", t. j. łotrów, rozbójników i zbrodniarzy, a kładący kres niemieckiej szowinistycznej legendzie anektującej dla Germanii wielkiego astronoma — właściwem będzie przypomnieć dowcip Chopina, zapisany we wspomnieniach Ambrożego Grabowskiego (wyd. Estreichera, str. 19). Chopin, bawiąc w r. 1830 w Berlinie, słyszał z ust Prusaków słowa zdziwienia i oburzenia, że Polacy w Warszawie Kopernikowi, jako Polakowi, pomnik stawiają. Zdziwienie swe motywowali Prusacy frazesem, ze Kopernik, pochodzący z Torunia, musi być Niemcem...

— Według waszego rozumowania — odrzekł 16-letni Chopin — Jezus Chrystus, rodząc się w Judei, powinien być uważany za Turka!

Mała rzecz, a wstyd. Pisma warszawskie zaznaczyły z przykrością, że Galicya, z wyjątkiem trzech firm, nie wzięła udziału w wystawie częstochowskiej. Komitet wystawy zwracał się naprzód o pomoc do krakowskiej Izby handlowej, wysłał nawet swego delegata do Krakowa, ale na posiedzenie zwołane w tym celu przybyło... trzy osoby. Lwowska „Liga pomocy przemysłowej" na list Komitetu nie raczyła nawet odpowiedzieć, a dopiero na miesiąc przed otwarciem wystawy zgłosiła się z prośbą, aby jej przesłać sprawozdanie z odbytej już wystawy. Pisma warszawskie słusznie nazywają to skandalem.

Kolonizacya niemiecka w Galicyi. Przed paru tygodniami doniesiono „Straży Polskiej" iż w ręce kolonistów niemieckich z Prus mają przejść dwa majątki w zachodniej Galicyi, mianowicie Stróże Wyższe i Berdychów.

Wiadomość ta, rozesłana przez nas dziennikom słusznie wywołała zaniepokojenie.

Na szczęście okazała się nieprawdziwą, a fakt — według tego, jak go przedstawił redakcyi „Głosu Narodu" redaktor „Górnoślązaka", p. Piechulek, przedstawia się następująco:

W Bytomiu powstała „Polska spółka parcelacyjna", która nic wspólnego z kolonizacyą niemiecką nie ma, nie jest obliczoną na wyzysk włościan, gdyż zadowala się małym procentem, a rozkładając spłaty na długie lata, daje możność niezamożnym włościanom nabycia ziemi. Również i twierdzenie, jakoby ów rzekomy bank niemiecki w Bytomiu miał założyć kolonię niemiecką w powiecie grybowskim, nie jest zgodne z istotnym stanem rzeczy. Ustawy pruskie dały wszelkie ułatwienia chłopom niemieckim, którzy chcieliby się osiedlić w Poznańskiem: otrzymują tam ziemię prawie darmo z budynkami, wszelkim inwentarzem i kapitałem na prowadzenie gospodarstwa. Wobec tych ułatwień, chłop niemiecki, kierując się własnym interesem, za nic nie osiedliłby się w Galicyi, gdzie przecież podobnych ułatwień nie otrzymałby.

Natomiast chłop polski z Poznańskiego i Górnego Śląska, który emigruje za zarobkiem, gromadzi kapitał, a po powrocie, kapitału tego, wobec wrogich ustaw pruskich, w całej pełni użyć nie może, gdyż nie wolno mu nawet chaty postawić, ten chłop polski chętnie spogląda w stronę Galicyi. „Polska spółka parcelacyjna" tego chłopa polskiego z Księstwa Poznańskiego ma przedewszystkiem na oku. Chłop polski z Poznańskiego chętnie lokuje swe kapitały w Galicyi, a „Polska spółka parcelacyjna" w Bytomiu, która działa i w Galicyi, operuje kapitałem wyłącznie ludowym, w wysokości 1.700,000 marek. Ta spółka wydobyła niedawno z rąk niemieckich Jedlin na Górnym Śląsku, w Galicyi zaś wyrwała z rąk żydowskich Szerzyny, w powiecie Jasielskim i rozparcelowała je między tamtejszych polskich włościan. W powiecie wielickim Spółka ta rozparcelowała Sawę.

„W Radzie nadzorczej „Polskiej spółki parcelacyjnej" w Bytomiu zasiadają pp.: budowniczy Sobociński, przewodniczący; Dalek, redaktor „Katolika"; Piechulek, redaktor „Górnoślązaka"; dr. Spyra; dr. Stęśliński, oraz wielu włościan górnośląskich".

Wyjaśnienie to uspokaja, ale nie całkiem zadawala. Niejednokrotnie już podnosiliśmy, że lubo każdy Polak na każdym kawałku ziemi polskiej jest u siebie, to przecież wszelką emigracyę z Poznańskiego i Górnego Śląska do innych ziem polskich uważamy za osłabienie żywiołu polskiego tam, gdzie wszelkiemi siłami o każdą piędź ziemi walczyć należy. Niech więc spółka parcelacyjna w Bytomiu wydobywa dalej Jedliny z rąk niemieckich, niech parceluje dobra galicyjskie między galicyjskich włościan — ale niech nie popiera emigracyi z Wielkopolski, bo to woda na młyn Hakaty, bo to „interes" może dobry, ale... podejrzany.

Czechom podoba się Warszawa. Poseł Władysław Czech, referując w czasopiśmie [illegible] o wycieczce czeskiej do Polski, kończy swe sprawozdanie propozycyą, aby na pamiątkę przyjęcia Czechów w Warszawie, nazwano jedną z ulic Pragi czeskiej „Warszawską", podobnie jak to uczyniono na cześć miasta Paryża. Ustęp końcowy tego artykułu brzmi jak następuje:

„I pod względem turystycznym stosunki nasze są dotychczas jeszcze bardzo słabe. Ilu Czechów, którzy cały świat już zwiedzili i co rok długo przemyślają nad tem, dokądby wyjechać, pomija ziemie polskie, choć tak wiele zajmujących rzeczy można tam zobaczyć i usłyszeć! Miasto nieledwie milionowe, jak Warszawa, przytem słowiańskie, z wielkomiejskim komfortem, warte jest chyba zwiedzenia. Jesteśmy przekonani, że na przyszły rok, gdy nadejdzie znowu sezon podróżowania, Warszawa ujrzy w swych murach sporą liczbę czeskich turystów. Nie pożałują tego".

Może ten głos, jak i niedawne głosy niemieckie i francuskie (Eichhardta, Korna, Leblonów), zachęci do zwiedzania Warszawy i... Galicyan.

W lwowskiej Organizacyi bojkotowej odbył się we wtorek 31. sierpnia b. r. dalszy ciąg ankiety w sprawie wyrobu obuwia. Obok inicyatorów myśli założenia fabryki obuwia stawili się licznie przedstawiciele zawodu szewskiego oraz delegaci korporacyi szewskiej.

Ci ostatni prawie jednomyślnie domagali się, by Organizacya nie popierała fabryki lecz wspomogła usiłowania podupadającego rzemiosła, które pragnie się dźwignąć drogą pracy współdzielczej przez scentralizowanie sprzedaży obuwia z wykluczeniem drogiego pośrednictwa handlowego.

Również domagali się reprezentanci rzemiosła, by Organizacya zajęła się przedewszystkiem założeniem garbarni, a w dalszej linii fabryki kopyt, gum, kołków i t. p. składowych części obuwia, w braku których przemysł nasz sprowadzać musi te półfabrykaty z zagranicy i płacić od nich cło.

Wyrób tych półfabrykatów i skór musi być bardzo rentowny, jeśli np. niewyprawne skórki idą za granicę, płacone u nas w surowym stanie po 1 kor. 40 h. za 1 klg. — kopyta np. kosztują po 2 korony sztuka, gdy drzewa na kopycie nie ma więcej, jak za 4 halerze.

Ze strony Organizacyi przyrzeczono poprzeć wszelkie realne usiłowania rzemieślników, a także uchwalono na temsamem posiedzeniu odnieść się do Straży Polskiej w Krakowie o informacye celem poparcia sprawy uruchomienia garbarni w Ludwinowie pod Krakowem, którą się już Straż zajęła.

Równocześnie jednak poprze Organizacya także inicyatywę założenia fabryki obuwia, która przecież powinna wypełnić lukę, umożliwiającą zalewanie naszego rynku obcymi fabrykatami.

Kurjer litewski pomieścił szereg artykułów z Krakowa pióra Stefana Okulika (pseudonim tego używa jeden z najpoważniejszych litewskich obywateli). Są to wrażenia i opisy pełne pietyzmu dla naszego miasta i jego pamiątek. W ostatnim artykule (nr. 190 *Kurjera*) pan O. wspomina o życiu kulturalnem Krakowa. „Stowarzyszeń kulturalnych, oświatowych (pisze między innemi) pełno tu wszędzie. Najbardziej sympatycznem stowarzyszeniem, zdaniem mojem, jest Straż Polska, której celem jest strzeżenie i obrona duchowych i materyalnych interesów narodu polskiego"...

KĄCIK JĘZYKOWY.

W wydanej przez p. Ignacego Kompińskiego „Książeczce narzędziowej" (Warszawa) znajdujemy nazwy polskie narzędzi ślusarskich, tokarskich, kotlarskich, kowalskich, stolarskich i ciesielskich. Nazwy te uznajemy za stosowne podać do wiadomości naszych panów majstrów.

I.

Narzędzia ślusarskie.

Cyrkle drążownik (Stangenzirkel), krążnik (Spitzzirkel), krążnik sprężynowy (Federzirkel), otwornik (Lochzirkel), piennik (Taster). Dociśnik (Nietenzieher). Dziurniczka Locheisen). Furkadło: (Drillbohrdreher. Gładzidło (Polirstahl). Imadło do rur: (Röhrenschraubstock). Imadło równoległe (Parallelschraubstock). Imadło zawiasowe (Charnierschraubstock). Imadełko drewniane (Holzklobe). Imadełko ręczne (Feilklobe). Imadełko ukośne (Reifklobe). Kątomiar (Bogenwinkel). Kleszcze do drutu (Flachzange), do gwoździ (Nagelzange), do rur (Rohrzange), główkowe (Beisszange), kowalskie (Schmiedezange). Klinisk (Keiltreiber). Klucze naśrubkowe nasadowy (Kanonenschlüssel), rozsuwalny (Uniwersalschraubenschlüssel), sierpik (Zapfenschlüssel), widłowy (Gabelschlüssel), zwyczajny pojedyńczy (einfacher Schraubenschlüssel), zwyczajny podwójny (Doppelschraubenschlussel). Kostur (Brechstange). Kręcidło (Gewindeisen). Kroje (Schnitter). Lampka lutownicza (Löthlampe). Linjał stalowy (Stahllineal). Lśnidła (Polirzapfen). Marmurek (Oelstein). Miarka (Maasstab). Młoteczek (Niethammer). Nakładki imadła miedziane (Kupferspannbacken), ołowiane (Bleispannbacken), żelazne (Blechspannbacken). Narzynadło (Schneidkluppe). Narzynak (Schneidbohrer). Narzynak matecznik (Backenbohrer). Narzynka płytkowa (Schneideisen). Narzynki składane (Schneidbacken). Okulary ochronne (Sicherheitsbrille). Pilniki gładziki (Schlichtfeilen), równiaki (Vorfeilen), zdzieraki (Schrottfeilen), nazębiak (Sägefeile). Piłka – metalówka (Bogenfeile). Poziomnica (Wasserwage). Przebijak (Durchschlag). Babka przebijaki (Lochring). Przecinaki przecinak (Schrottmeissel), pazurek (Rundmeissel), ścinak (Flachmeissel), wycinak (Kreuzmeissel). Punktak (Korner). Rozwiertak (Reibahle). Rozwiertak kątowy (Winkelreibebohrer). Rozwiertnik (Ausreiber). Schwyty Spanneisen). Skrobak (Schaber). Skrzynka do narzędzi (Werkzeugkasten). Smarnica (Oelkanne). Tarnik (Raspel). Trzpień

(Dorn). Uszczelnica (Dichtmaschine). Węgielnica zwykła (Winkel). Węgielnica krzyżowa (Kreuzwinkel). Węgielnica przykładowa (Anschlagwinkel). Wiertaki: furkadłowy (Drillbohrer), krętak (Spiralbohrer), nawiertnik (Senkbohrer), odśrodkowiec (Centrumbohrer), wodzik (Zapfenbohrer), zwykły (Spitzbohrer, Lochbohrer). Wiertarska korba (Bohrkurbel). Wiertarski napierśnik: (Brustbrett) Wiertarski smyk (Fidelbogen). Wkrętak (Schraubenzieher) Wybijak (Ausschlag). Zagłówka (Schelleisen). Znacznik ręczny (Reissnadel). (C. d. n.).

W wozach tramwajowych spotykamy takie napisy: „Tu miejsce zostawić wolne“ (diesen Platz frei lassen) zamiast po polsku: „Tego miejsca nie zajmować“), „Miejsca stojące“, zamiast: „Miejsca dla stojących“, albo: „miejsca do stania“. Zwrócono na to uwagę dyrekcyi tramwajów. Nie tylko się nie obraziła, ale nawet uprzejmym listem podziękowała za zwrócenie uwagi i zapewniła, że napisy zmienić każe. Oby tak wszyscy czynili, a przedewszystkiem redakcye wielu dzienników!

Należałoby też pozbyć się takich wyrażeń, jak „fiakier wolny?“ „kelner! płacić“. Fiakier jest wolny zawsze, bo nie jest niewolnikiem, a bywa tylko „zajęty“ lub „nie zajęty“, „zamówiony“, lub nic. Nie można też wołać na płatniczego wyrazem „płacić“, bo to znaczy, że domagamy się, aby on nam zapłacił; że atoli my płacić zamierzamy, więc wypada wezwać płatniczego wyrazem: „zapłacę“. Drobne to rzeczy, ale szpetne, a właściwie niedorzeczne.

Czy nie byłoby stosowniej nazywać automobilów „samojazdami“ niż „samochodami“? Skoro jest wyraz pojazd (powóz) więc „samojazd“ byłby braciszkiem pojazdu. No, a i to przecież coś znaczy, że automobil nie idzie, jeno jedzie i nie chodzi, jeno do jazdy służy.

Cz. P.

Kronika „Straży Polskiej“.

Przez czas letni komitety wszystkich prawie stowarzyszeń zawieszają swe czynności, członkowie ich, bowiem korzystając z feryj, rozjeżdżają się po świecie. W tem samem położeniu znalazł się i Zarząd główny „Straży Polskiej“. Pomimo to nie przerwał zupełnie swej działalności, o czem zaświadczy treść naszej kroniki.

Sprawozdanie z urządzonego przez „Straż“ obchodu grunwaldzkiego podajemy powyżej. Tu musimy zaznaczyć, że spotkał się on z ogólnem uznaniem. Szeroko pisały o nim wszystkie pisma krakowskie, warszawskie i poznańskie. Również obszerne sprawozdania pomieściły *Kurjer litewski* i *Dziennik kijowski*. Jedynie dzienniki lwowskie (z wyjątkiem *Słowa Polskiego*) poprzestały na kilkowierszowej wzmiance. Widocznie obchód ten dla nich miał takie samo znaczenie, jak pierwsza lepsza kradzież kieszonkowa, lub bitka w szynku, a dziesięć razy mniejsze, niż matche foobalowe, którym całe szpalty poświęcają.

Nie będziemy przytaczali głosów prasy o obchodzie. Zrobimy wyjątek jedynie dla *Gazety Powszechnej*, jako dla pisma, które względem „Straży“ zajmowało bardzo chłodne, a względem jej prezydyum nawet nieprzyjazne stanowisko.

Oto *Gazeta Powszechna* pisze:

„Kraków najpierwszy ze wszystkich miast Polski złożył hołd prochom bohaterów grunwaldzkich. Przez dzień wczorajszy miało miasto nasze wygląd prawdziwie wielkiego, narodowego święta. Ze Sukiennic i wielu innych gmachów w Rynku i w bocznych nawet ulicach powiewały chorągwie o narodowych barwach. Wyludniony w porze wakacyjnej Kraków znowu wypełnił się różnobarwnym tłumem, w którym zobaczyć można było i chłopską, krakowską sukmanę i bluzę robotniczą, surdut mieszczanina i inteligenta, a nawet strój dawnego szlachcica polskiego. Nie tylko mieszkańców Galicyi można było widzieć, ale i rodaków z pod dwóch innych państw zaborczych. Dlatego też można powiedzieć, że reprezentanci całego narodu składali wczoraj cześć wielkiej przeszłości.

„Z uznaniem podnieść należy starania „Straży Polskiej“, organizacyi ogólno-narodowej, która obchód ten w Krakowie w swoje ujęła ręce i pierwsza myśl uroczystego święcenia grunwaldzkiej rocznicy rzuciła“.

Po tym wstępie podaje *G. P.* obszerne sprawozdanie z obchodu.

Zarząd „Straży Polskiej“ korzystając z przybycia najprz. ks. biskupa Bandurskiego na obchód grunwaldzki, uprosił go aby raczył odwiedzić kolonię młodzieży z najdalszych kresów, zostającą pod opieką „Straży Polskiej“, a zamieszkałą u OO. Zmartwychwstańców. Przy sposobności urządził komitet obchodu grunwaldzkiego zebranie towarzyskie na cześć dostojnego gościa, celem podziękowania mu za przybycie do Krakowa i uświetnienie natchnionem słowem patryotycznego obchodu.

W odpowiedzi na przemówienie prezesa Zarządu, ks. biskup podniósł z uznaniem cele i działalność „Straży Polskiej“, życząc jej rozwoju na pożytek społeczeństwa. Wspomniał, że „prześliczne“ sprawozdanie Zarządu ujęło go, bo przedstawiło jasno zacne usiłowania „Straży“, jej pracę wolną od przymieszki jakichkolwiek interesów partyjnych, jej wzniosłe dążności do usypania tego szańca, o który rozbije się nienawiść wrogów. Dostojny pasterz uczynił przytem nadzieję, że do pracy „Straży Polskiej“ przyłączy się i wschodnia Galicya, że „Straż“ zdoła usunąć śmieszne lokalne separatyzmy i powołać cały kraj do współdziałania w obranym przez nią kierunku.

Następnie udał się ks. biskup do kolonii młodzieży kresowej. Rozrzewniający był widok udzielenia młodzieży tej błogosławieństwa i porywające były słowa, jakiemi do niej zacny pasterz przemówił. Młodzież ta pierwszy raz w życiu miała sposobność usłyszenia takich słów wychodzących z ust dostojnika kościoła polskiego.

Kolonia młodzieży kresowej bawiła przez cały miesiąc lipiec w Krakowie. Program jej pobytu był taki sam jak roku zeszłego. Zwiedzała Kraków i jego okolice, zrobiła wycieczkę do Zakopanego, słuchała wykładów historyi i literatury polskiej. Opiekował się nią stale w imieniu Zarządu „Straży Polskiej“ prof. A. E. Balicki.

Składki zebrane między obywatelami kresów, dopełnione składkami zebranemi w Krakowie przez Zarząd „Straży“, pokryły w zupełności wydatki kolonii.

Czujemy się w obowiązku podziękować OO. Zmartwychwstańcom za nader przystępnie obliczone koszta utrzymania kolonii i hr. Zamojskiej za udzielenie kolonii bezpłatnego pomieszczenia w Kuźnicach.

Dnia 31. sierpnia wyruszyła trzecia wycieczka Straży Polskiej do Warszawy, prowadzona przez prezesa Zarządu głównego.

W drodze zatrzymała się w Częstochowie dla zwiedzenia Jasnej Góry i wystawy.

W wycieczce brało udział 36 osób (w tem 10 pań) przeważnie ze sfer ziemiańskich i prawniczych. Większość pochodziła ze wschodniej Galicyi, a mianowicie ze Lwowa i jego okolic, Tarnopola, Przemyśla, Zaleszczyk, z pod Uhnowa, Przemyślan, Kołomyi i t. d., mniejszość z Krakowa, powiatu brzeskiego nowotarskiego i limanowskiego. Kilka osób było ze „środka“ Galicyi: Leżajska.

Nie potrzebujemy chyba zaznaczać, iż kościół i klasztor jasnogórski na uczestnikach wycieczki wywarły silne wrażenie. Bardzo również podobała im się wystawa, która choć poniekąd prowincyonalna, obejmująca zaledwie cząstkę przemysłu Królestwa Polskiego, imponuje tak rozmiarami i urządzeniem, jak ilością i jakością okazów.

Prawda każe wyznać, że wycieczka spotkała się w Częstochowie z niewygodą i z wyzyskiem, ale nie w tak wielkich znowu rozmiarach, jak to zaznaczył „Dzień“ warszawski, którego artykuł przedrukowało kilka dzienników galicyjskich [1].

W Warszawie stanęła wycieczka 1. września i zajęła wygodne eleganckie pokoje w pierwszorzędnym hotelu Europejskim. Stołowała się w wykwintnej restauracyi hotelu Sawoy.

O programie zwiedzania pamiątek i osobliwości Warszawy wspominać nie będziemy, gdyż był on mniej więcej ten sam co za poprzednich wycieczek (patrz fejletony w nrach 5 i 15 „Straży Polskiej“). Ponad ten program zwiedziła jeszcze wycieczka niezmiernie interesującą stacyę filtrów, oraz udała się parostatkiem do Młocin (park ludowy), dając części uczestników sposobność zwiedzenia pobliskich Bielan i grobu Staszica.

[1]) Autor artykułu w „Dniu“ (Wut.) podał rzekomą swą rozmowę z prezesem Straży, na podstawie tego co słyszał od osoby trzeciej. Ogólnie biorąc napisał rzecz bardzo bliską prawdy, w szczegółach jednak dopuścił się pomyłek i przesady. Tak np. zamiast podać, że cztery osoby musiały spać w jednym pokoju, napisał, że cztery osoby spały na jednem łóżku Musimy także zaprzeczyć temu, o czem z ironią wspomina p. Wut., jakoby komitet wystawy okazał swą „gościnność“ jedynie tem, że zniżył dla członków wycieczki cenę wstępu z 30 na 20 kop. Takiej zniżki nie domagaliśmy się i nie bylibyśmy jej przyjęli.

Wycieczka opuściła Warszawę pod wrażeniem podniosłem. Można śmiało powiedzieć, że zachwycona była Warszawą, że uczestnicy wycieczki nie domyślali się nawet, ile z niej miłych i drogich wspomnień wyniosą. Dowodem tego zadowolenia był bankiet, jaki wydali w przeddzień wyjazdu dla przewodnika wycieczki, na którym to bankiecie głośno i serdecznie wyrażali swą wdzięczność „Straży Polskiej“ za inicyatywę i za dni podniośle przeżyte.

Wiele do powodzenia wycieczki przyczynił się i jej skład osobisty. Całe towarzystwo składało się z osób inteligentnych, o wysokiej kulturze towarzyskiej.

W końcu tej notatki musimy złożyć szczere podziękowanie „warszawskiemu Towarzystwu krajoznawczemu“, które z prawdziwą uprzejmością postarało się o szereg ułatwień dla wycieczki.

Równie gorąco dziękujemy p. Przecławskiemu, kustoszowi wspaniałych zbiorów wilanowskich, który osobiście oprowadzał wycieczkę po pałacu Sobieskiego i po parku, pokazując nawet te ich części, które dla ogółu zwiedzających są zamknięte.

W lipcu wysłaliśmy następujące komunikaty do dzienników:

1. „Straż Polska“ zwraca uwagę publiczności, iż na zjeździe lekarzy internistów w Krakowie, uznano za bezwartościowe, lub dające się zastąpić zwykłemi, dziesięć razy tańszemi środkami, następujące niemieckie (przeważnie pruskie) fabrykaty lecznicze: Sanatogen, Somatoza, Hematogen, Hematol, Sirolina, Natron, Puro, Pyrenol, Jodofan, Antidiabetin, Antimorfin itd. Tak np. w Somatozie płaci kupujący za jajko ...koronę. Puro, mający być sokiem mięsnym, posiadającym wartość odżywczą około $2^1/_2$ kilo mięsa, według badań nie zawiera ani śladu białka mięsnego, a składa się z zaprawy pozostałej po wysoleniu szynek z domieszką białka kurzego i kwasu borowego, — wartość jego wynosi co najwyżej 20 h., a w handlu sprzedaje się po 3 korony 70 halerzy. Strzeżmy się oszustw niemieckich“.

2. Wysłannik firmy lipskiej Hugershoff (urządzenia techn. chem. pracowni) niejakiś Raabski, o którym swego czasu „Straż“ donosiła nawiedził jednak Kraków, ale dla podbicia miękkich serc polskich udaje się do dyrektorów zakładów krakowskich z kartami francuskiemi, polecającemi reprezentowany dom handlowy.

Nie wątpimy, że ten manewr nie zamydli polskich oczu i nie zjedna ajentowi hakatystycznej firmy polskich serc, a przedewszystkiem nie zmniejszy zawartości polskich sakiewek. Ponieważ zaś ów Raabski z Krakowa zawita do Lwowa, więc „Straż Polska“ zawiadomieniem tem uprzedza jego przybycie.

Sprawa wypiekania opłatków w Galicyi, dla wyparcia opłatków nadsyłanych z Niemiec, postąpiła o tyle naprzód, że za inicyatywą „Straży“ fabryki takie zakładają p. Gurgul w Jarosławiu i p. Niewidowski organista w Wadowicach.

Zawiadomił nas również p. Wincenty Maciaszczyk z Łodzi, że otworzył piekarnię opłatków kościelnych, lecz chcąc skutecznie konkurować z Franciszkiem Hochem z Mittelburga, prosił nas o informacye co do najlepszych maszyn. Żądane informacye wysłaliśmy.

„Hoch — pisze w swym liście p. M. — porozsyłał do wszystkich organistów w Królestwie szumne reklamy i gdyby nie cło wynoszące 9 rs. od puda, nie mógłbym egzystować ze swą piekarnią“.

W ciągu lipca i sierpnia biuro „Straży“ udzieliło informacyj przemysłowych i bojkotowych 42 osobom i załatwiło 118 korespondencyj.

Plakaty bojkotowe rozlepialiśmy przez lato w główniejszych miejscowościach kąpielowych.

ZAMKNIĘCIE RACHUNKÓW
TOWARZYSTWA WZAJEMNYCH UBEZPIECZEŃ W KRAKOWIE.

Rachunek zysków i strat z działu ogniowego za czas od 1. stycznia 1908 do 31. grudnia 1908 r.

Rozchód.

		K	h	K	h
I.	Szkody i koszta likwidacyi wypłacone	6,672.787	42		
	mniej zwrot od Towarzystw kontrasekuracyjnych	1,814.438	77	4,858.348	65
II	Ogólne wydatki zarządu po potrąceniu prowizyi kontrasekuracyjnej			2,029.388	41
III.	Odpisy i inne wydatki			1,193.740	63
IV.	Rezerwa na szkody nieuregulowane	981.846	76		
	mniej udział Towarzystw kontrasekuracyjnych	251.894	61	729.952	15
V.	Stan funduszów z końcem roku 1908	14,469.239	91		
	mniej kontrasekuracya	1,351.770	96	13,117.468	95
VI.	Pozostałość			1,534.772	86
				23,463.671	65

Przychód.

		K	h	K	h
I.	Fundusze przeniesione z r. 1907	14,374.656	28		
	mniej kontrasekuracya	1,360.371	55	13,014.284	73
II.	Fundusz na szkody nieuregulowane przeniesiony z r. 1907	1,296.065	33		
	mniej kontrasekuracya	327.749	17	968.316	16
III.	Zebrana premia	11,967.792	96		
	mniej kontrasekuracya	3,379.427	41	8,588.365	55
IV.	Przychód z lokacyi kapitałów			371.517	47
V.	Inne przychody			521.187	74
				23,463.671	65

Rachunek bilansu z działu ogniowego z dniem 31. grudnia 1908 r.

Stan czynny.

		K	h	K	h
I.	Stan kas z dniem 31 grudnia 1908			335.381	10
II.	Rozporządzalne należytości w instytucyach kredytowych i kasach oszczędności			1,594.349	12
III.	Realności			1,870.000	—
IV.	Papiery wartościowe według kursu z dnia 31 grudnia 1908			8,372.294	52
V.	Weksle w portfelu			215.073	33
VI.	Salda czynne rachunków z Towarzystwami kontrasekuracyjnemi			1,408.171	44
VII.	Zaległości w agenturach i filiach (salda czynne)			2,123.104	38
VIII.	Różni dłużnicy			2,877.612	75
IX.	Wartość inwentarza po odpisaniu zużycia			9.681	30
X.	Efekta kaucyi agentów			553.053	[illegible]
				19,358.721	32

Stan bierny.

		K	h	K	h
I.	Fundusz rezerwowy			[illegible]	37
II.	Fundusz na zwroty			[illegible]	26
III.	Fundusz wyrównawczy i specyalny			[illegible]	29
IV.	Rezerwa premii	4,797.966	73		
	mniej kontrasekuracya	1,351.770	96	3,446.195	77
V.	Rezerwa na szkody nieuregulowane	981.846	76		
	mniej kontrasekuracya	251.894	61	729.952	15
VI.	Fundusz emerytalny			2,524.020	24
VII.	Salda bierne rachunków z Towarzystwami kontrasekuracyjnemi			240.333	26
VIII.	Różni wierzyciele			91·586	59
IX.	Kaucye agentów			553.053	38
X.	Fundusze			654.668	15
XI.	Pozostałość			1,534.772	86
				19,358.721	32

Rachunek zysków i strat z działu gradowego za czas od 1. stycznia 1908 do 31. grudnia 1908 r.

Rozchód.

		K	h	K	h
I.	Szkody i koszta likwidacyi wypłacone	2,188.444	81		
	mniej zwrot od Tow. kontrasekuracyjnych	674.218	47	1,514.226	34
II.	Ogólne wydatki zarządu po potrąceniu prowizyi kontrasekuracynej			115.080	58
III.	Odpisy i inne wydatki			69.628	71
IV.	Fundusz na szkody nieuregulowane			11.214	11
V.	Stan funduszów z końcem r. 1908			2,950.032	92
				4,660.782	69

Przychód.

		K	h	K	h
I.	Fundusze przeniesione z r. 1907			2,859.313	07
II.	Zebrana premia	1,542.795	24		
	mniej kontrasekuracya	446.111	82	1,096.683	42
III.	Fundusz na szkody nieuregulowane przenies. z r. 1907			23.447	96
IV.	Przychód z lokacyi kapitałów			111.843	51
V.	Inne przychody			66.933	74
VI.	Niedobór			502.560	99
				4,660.782	69

Rachunek bilansu z działu gradowego z dniem 31. grudnia 1908 r.

Stan czynny.

		K	h	K	h
I.	Rozporządzalne należytości w instytucyach kredytowych i kasach oszczędności			44.851	89
II.	Papiery wartościowe według kursu z dnia 31 grudnia 1908			2.732.095	56
III.	Weksle w portfelu			125.438	02
IV.	Salda czynne rachunków z Towarz. kontrasekuracyjnemi			291.895	05
V.	Rożni dłużnicy			34.644	32
VI.	Wartość inwentarza			981	10
VII	Niedobór			502.560	99
				3,732.466	93

Stan bierny.

		K	h	K	h
I.	Fundusz rezerwowy			2,780.915	69
II.	Fundusz wyrównawczy i specyalny			144.611	79
III.	Rożni wierzyciele			687.269	01
IV.	Fundusz na zwroty			24.505	14
V.	Fundusz na szkody nieuregulowane			11.214	11
VI.	Salda bierne rachunków z Towarzystwami kontrasekuracyjnemi			1.440	10
VII.	Fundusze			82.510	79
				3,732.466	93

Kraków, dnia 31. grudnia 1908 r.

D Y R E K C Y A:

M. Garapich. Ig. Głażewski. Paszkowski.

Naczelnik centralnego biura rachunkow.: *Wiktor Gablenz.*

K O M I S Y A R A C H U N K O W A:

M. Urbański. Antoni hr. Wodzicki. M. Dydyński.

Klemens hr. Dzieduszycki.

Rachunek zysków i strat z działu życiowego za czas od 1. stycznia do 31. grudnia 1908 r.

Rozchód.

		K	h	K	h
I.	Wypłaty płatnych zabezpieczeń i rent	[illegible]	[illegible]		
	mniej udział Tow. kontrasekurac.	[illegible]	[illegible]	3,195.267	69
II.	Wypłaty na wykupione police	376.501	[illegible]		
III.	mniej udział Tow. kontrasekurac.	24.281	[illegible]	852.220	35
IV.	Dywidenda ubezpieczonym wypłacona			192.579	63
	Ogólne wydatki zarządu			878.486	[illegible]
V.	Odpisy i inne wydatki			236.759	28
VI.	Rezerwa na bieżące wypłaty szkód	457.817	90		
	mniej udział Tow. kontrasekurac.	7.500	—	450.317	90
VII.	Stan funduszów z końcem roku rach.	[illegible]	[illegible]		
	mniej udział Tow. kontrasekurac.	1.240.784	52	32,619.469	67
VIII.	Zysk			516.853	18
				38,441.954	86

Przychód.

		K	h	K	h
I.	Przeniesienie funduszów z roku poprzedniego	33,122.931	76		
	mniej udział Tow. kontrasekurac.	1,259.531	44	31,863.400	32
II.	Rezerwa na wypłatę nieuregulowanych szkód z roku poprzedniego	405.516	99		
	mniej udział Tow. kontrasekurac.	4.000	—	401.516	99
III.	Zebrane premie	4,568.487	11		
	mniej udział Tow. kontrasekurac.	98.769	56	4,469.717	55
IV.	Przychód z lokacyi kapitałów			1,617.531	62
V.	Inne przychody			89,788	38
				38,441.954	86

Rachunek bilansu z działu ubezpieczeń na życie z dniem 31. grudnia 1908 r

Stan czynny.

		K	h	K	h
I.	Zapas kasowy			50.224	45
II.	Rozporządzalne należytości w instytucyach kredytow. i kasach oszczędn.			979.965	17
III.	Realności			300.000	—
IV.	Papiery wartościowe według kursu z dnia 31 grudnia 1908			6,863.607	35
V.	Pożyczki hipoteczne			9.490.064	47
VI.	[illegible]			[illegible]	[illegible]
VII.	Pożyczki stowarzyszeniom			12,215.274	48
VIII.	Pożyczki ubezpiecz. na zastaw pensyi			489.815	53
IX.	Salda czynne rachunków z towarzystwami kontrasekuracyjnemi			16.164	15
X.	Zaległości w agenturach i filiach			475.098	58
XI.	Różni dłużnicy			189.117	13
XII.	Efekta kaucyjne			14.277	51
				34,546.119	30

Stan bierny.

		K	h	K	h
I.	Rezerwa zysków, kapitałów			3,316.646	23
II.	Fundusz na różnicę kursu			—	—
III.	Rezerwa i przeniesienie premii			29,096.075	31
IV.	Rezerwa na nieuregulowane szkody			450.317	90
V.	Fundusz niepodniesionej dywidendy			206.748	13
VI.	Salda bierne rachunków z Towarzystwami kontrasekuracyjnemi			36.456	33
VII.	Różni wierzyciele			328.267	22
VIII.	Różne kaucye			14.277	51
IX.	Fundusz emerytalny			580.477	18
X.	Zysk			516.853	49
				34,546.119	30

Kraków, dnia 31. grudnia 1908 r.

DYREKCYA:

M. Garapich. Ig. Głażewski. Paszkowski.

Naczelnik działu ubezpieczeń na życie:
E. Szancer
[illegible] autoryzowany technik asekuracyjny.

Naczelnik biura rachunkowego:
A. Szyszkiewicz.

KOMISYA RACHUNKOWA:

Konst. Lipowski. St. Dydyński. Dr. E. Kamieński. K. Bzowski. Skrzyński.

Podział zysku.

		Dział ogniowy		Dział gradowy		Dział życiowy	
I.	Dywidendy	1,307.013	90	—	—	254.590	34
II.	Uposażenie funduszów	227.758	96	—	—	262.263	15
	Razem	1,534.772	86	—	—	516.853	49

Czcionkami Drukarni Związkowej w Krakowie (ul. Mikołajska L. 13) pod zarządem A. Szyjewskiego.